Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
cIV 9013

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV | Warszawa, 8 sierpnia 1948 r. | Nr 32 (141)

TREŚĆ NUMERU: R. Reiff — Kartka z pamiętnika; B. Lipczyńska — Biedronka; K. W. Zawodziński — Borowy o poetach XVIII w.; W. Pietrzak (Balk) — Lot jaskółek; Czytelnik uważa, że...

Mieczysław Kurzyna

POLSKA PRAWDA WROCŁAWIA

TŁO

Stoję, patrząc na wchodzących ludzi. Widzę ich wesołe twarze i trochę niespokojne ruchy. Staram się śledzić ich kroki, odgadnąć dokąd idą, zrozumieć, poco tu przyszli. Więcej, staram się dociec, co myślą i czy wychodząc będą myśleli to samo.

Jestem na wystawie we Wrocławiu...

Ludzie zmierzają w trzech kierunkach. Nie ma co ukrywać, najwięcej jest ich wśród wesołych stoisk terenu B, maleńkich budek. Kiermaszu, pawilonów Przemysłu Fermentacyjnego, Zrzeszeń Konserwowych, punktów sprzedaży Centrali Tekstylnej. Kupują, jedzą. Problemowa część Wystawy właściwie dla nich nie istnieje. Popatrzą przez chwilę na sławny już maszt, rzucą okiem na drewniane łuki i rzeźby, a za chwilę kręcą się wpleceni w koło diabelskiego młynu. Jeśli wrócą na teren A, to by zobaczyć wieczorem balet występujący w Hali Ludowej.

Inni szukają okazji kontynuowania swoich codziennych interesów. Obchodzą ich przede wszystkim towary, niedostępne gdzie indziej produkty, rzadziej spotykane maszyny. Kupić, produkować, sprzedać.

Tych, którzy istotnie dostrzegają problematykę Wystawy, jest najmniej. Poznać ich łatwo po wolniejszym kroku, uważniejszym spojrzeniu, nierzadko po ołówku i kartce papieru, na której notują spostrzeżenia.

I myślę, że tak będzie przez cały czas trwania Wystawy. I myślę także, że ostatecznie nie ma w tym nic złego. Korzyść odniosą wszyscy, obojętnie, czy przemówi do nich bogactwo sprzedawanych wyrobów, czy zysk w interesach, czy język wykresów, map, barwnych plansz statystycznych. Wszyscy spostrzegają, że mają do czynienia z bilansem osiągnięć, że są świadkami syntezy dokonań, że biorą udział w ważnym etapie na drodze do polskiego dobrobytu. To w gruncie rzeczy jest przecież najważniejsze.

POLSKIE OSIĄGNIĘCIA

Czas zdać sobie z nich sprawę. Ostatecznie najczęściej wie się o pięciu i pół milionach Polaków, zamieszkujących dzisiaj Ziemie Odzyskane i o węglu, który stanowi zasadniczy atut naszego handlu międzynarodowego. O szczegółach pamięta się znacznie rzadziej, a dalszych spraw nie zna się prawie zupełnie.

Już wkrótce po zakończeniu działań wojennych w roku 1939 rozpoczęli Niemcy na terenie Polski masową akcję przesiedleńczą swoich rodaków z nad Bałtyku, Wołynia, Małopolski Wschodniej i Chełmszczyzny na tereny Poznańskiego, Śląska i Ziemi Lubuskiej. Przy ogromnym nakładzie środków, w luksusowych warunkach niezniszczonego i zwycięskiego kraju udało się, najlepszym jakoby organizatorom na świecie, przesiedlić do października 1940 roku 146.700 osób. Ogółem w okresie wojny zdołali Niemcy osiedlić na terenach zabranych Polsce nieco ponad 650.000 ludzi. Polacy w okresie trzech lat, w potwornie ciężkich warunkach kraju zniszczonego wojną, na tereny zdewastowane z niemiecką dokładnością przesiedlili 4.500.000 Polaków. Trudno o lepszy dowód, że akcja ta była wyrazem realizacji naturalnych potrzeb społeczeństwa, że po prostu była jedyną możliwością, a tym samym koniecznością przy budowaniu naszego istnienia.

W pierwszym okresie osadnictwa powstała obawa, czy ludność polska przeniesiona z zupełnie odmiennych warunków, potrafi zagospodarować kraj o zupełnie innym charakterze gospodarczym. Dziś po trzech latach możemy powiedzieć, że obawa ta była płonna. Zagospodarowane zostały nie tylko wsie, ale i miasta, uruchomiono nie tylko warsztaty rolne, lecz także ośrodki przemysłowe, kopalnie, porty, a także zakłady wysoce precyzyjnego przemysłu, wymagające wiedzy fachowej i doświadczenia. Raz jeszcze okazało się, jak wysokie zdolności posiada naród polski we wszystkich swoich częściach, od małorolnego chłopa do inteligencji miejskiej. Jeżeli dodamy do tego, że owa liczba 5.500.000 Polaków na Ziemiach Odzyskanych jest mniej więcej równa stratom ludnościowym poniesionym w okresie wojny, ogrom wysiłku osadniczego pomnożyć trzeba będzie przynajmniej dwukrotnie.

Osadnictwo to jednak jeszcze nie wszystko. Proces repolonizacyjny tych ziem ma charakter nie statyczny a dynamiczny. Ludność, która tu przyszła objęła zgliszcza — dziś żyje w kraju zagospodarowanym, więcej nawet, kwitnącym gospodarczo.

Czyżby mieli łatwiejsze warunki? — Przeciwnie. Zniszczenia były tutaj większe, niż gdziekolwiek. Według danych bijących z barwnych plakatów, a przede wszystkim z wykresów i liczb statystycznych w maju 1945 r. Ziemie Odzyskane w małym jedynie stopniu nadawały się do zamieszkania. Na wsi zaminowane było wówczas 3,5 miliona ha, czyli jedna trzecia całego obszaru. 124.000 zagród (27,5 proc.) było zniszczonych. Pogłowie zwierząt domowych spadło w stosunku do okresu przedwojennego o 95 proc. W miastach uległo zniszczeniu 150.000 budynków (40 proc.). Z tego większe miasta poniosły specjalnie ciężkie straty, jak Wrocław — 65 proc. budynków, Głogów — 95 proc., Brzeg — 70 proc., Legnica — 60 proc., Kołobrzeg — 80 proc., Elbląg — 60 proc., Szczecin — 50 proc. Nie lepiej rzecz wyglądała w przemyśle. Zniszczenia sięgały tu 5 miliardów złotych przedwojennych (39 proc. ogólnych wartości) co specjalnie jasno uderzy w oczy, gdy przypomnimy sobie, że roczny obieg pieniądza Polski w okresie przedwojennym sięgał 1 miliarda zł. Prócz tego przemysł stracił swoją zdolność produkcyjną w przeszło 40 proc. Komunikacja wyglądała nielepiej. Na ogólną ilość 11.083 km linii kolejowych unieruchomionych było 6.980 km mostów (ponad 20 m rozpiętości) zniszczonych było 40.900 m bieżących (66 proc. ogółu), a budynków kolejowych ocalało zaledwie 24 proc. Tak zwane główne warsztaty kolejowe zniszczone były w 100 proc.

Te liczby możnaby długo jeszcze cytować. Nie warto. Obok mnie zadzierają w górę głowy, patrząc na szczyt 100-metrowego masztu ludzie zwiedzający wystawę. Dalsze nieco ich grupki oglądają ogromne tokarki do toczenia całych zestawów kolejowych. Na jeszcze dalszym planie widać tych, co kupili materiały włókiennicze na terenie B. Myślę, że i tak trudno im będzie uwierzyć w zniszczenia. Cóż, należą one do przeszłości. Realny jest fakt, że Ziemie Odzyskane znów produkują i to w ilościach coraz bliższych do wytwórczości przedwojennej.

W roku 1948 wydobyto 67 milionów 500 tysięcy ton węgla, osiągając 247 proc. produkcji z roku 1945 i 96 proc. produkcji z tych terenów z r. 1938. Przeładunek portów w Szczecinie osiągnął w roku bieżącym 4,5 milionów ton, a w r. 1949 przekroczy przeładunek przedwojenny. Przy tym, między okresem 1947 — 1952 zbudowane zostaną w stoczniach polskich 33 statki o tonażu ponad 125.000 BRT, a na stoczniach zagranicznych — 6 statków o pojemności 25,7 tysięcy ton, co powiększy prawie w dwójnasób stan floty handlowej. Na wsi w roku 1945 odbudowano zaledwie 533 budynki, w r. 1946 już 8.518, w r. 1947 — 108.000. Prócz tego w ciągu trzech lat wykonano na tych ziemiach robót melioracyjnych ogólnej wartości blisko miliard złotych (46 proc. wszystkich melioracyj w Polsce). Ze 100.000 ha zalanych przez Niemców Żuław Gdańskich odwodniono w r. 1947 33.000 ha, a w r. bieżącym, odwodnione będzie 47.000 ha. W roku 1949 akcja ta zostanie zakończona. Wolniej idzie praca przy odbudowie stanu pogłowia, ale i tutaj zanotować można duże postępy. W roku 1947 było już koni 351.000 (w r. 1945 — 89.000), bydła — 857.000 (w r. 1945 — 273.000).

Ten postęp w ujęciu liczbowym znowu będzie obchodził tylko nielicznych spośród zwiedzających Wrocław. Patrząc jednak na starszych panów wychodzących ze stoiska Zjednoczenia Mleczarskiego, jak niezgrabnie i z pewnym zażenowaniem ocierają zawalane podbródki a pokręciwszy się trochę znów wracają na szklaneczkę mleka lub butelkę kefiru, można przypuszczać, że wspomnienie będzie trwałe.

Dodać do tego można, że Ziemie Odzyskane zmieniają całą strukturę kraju. W zakresie ludnościowym, gdyby nie te tereny, mielibyśmy prawdopodobnie zaledwie 22 proc. ludności miejskiej, 78 proc. ludności wiejskiej. W dniu pierwszym lipca 1947 r. mamy 35 proc. ludności miejskiej, wiejskiej 65 proc. (w r. 1931 — 33 proc. ludności miejskiej). Dowodzi to stopniowej zmiany charakteru gospodarczego Polski, coraz szybszego zbliżania się do struktury przemysłowej, która jedynie może gwarantować nasze istnienie na terenie międzynarodowym, jako siły gospodarczej a tym samym i politycznej. To właśnie jest ową szansą rysującą się mimo zniszczeń wojennych, którą nasze pokolenie ma obowiązek wykorzystać.

CZAR KULTURY NIEMIECKIEJ

Istnieje u nas pewien zbyt łatwy pogląd na sprawy niemieckie. Wbrew łatwym uogólnieniom odwieczny nasz przeciwnik na zachodzie to wróg, którego wartość trzeba znać, którego pokonać można jedynie, przyznając mu wszystkie jego istotne wartości. Cały dramat, cała kosmiczna siła zła niemczyzny polega właśnie na tym, że zbrodniarzami mogą być tam ludzie wysokiej klasy osobistej. Że ani wiedza, ani zdolności twórcze nie zostały w tym narodzie na przestrzeni historii wprzęgnięte w służbę dobra, ale w służbę przewrotności i woli zniszczenia. Może dlatego właśnie świat nie jest w stanie zrozumieć istoty niebezpieczeństwa niemieckiego, traktując naszych zachodnich sąsia-

WYTYCZNE

* * *

...„Gospodarczy bilans stuletniej przynależności Śląska do Prus wypadł bardzo niekorzystnie. Śląsk umożliwił dopiero rozwój Prus i dojście ich do potęgi mocarstwowej, ale te świadczenia na rzecz i w interesie niemczyzny opłacił jednak ofiarą swojego rozkwitu gospodarczego. Śląsk przyglądał się zasychaniu dawnych źródeł swojego rozwoju, a nowe mógł rozwijać tylko w bardzo skromnych rozmiarach. Przez większą część ubiegłego stulecia Śląsk stanowił nawóz kultury Niemiec, a handel i przemysł Berlina wyrosły po większej części na ruinach Śląska".

Tę generalną linię polityki Niemców wobec Śląska przypieczętował jeszcze sposób prowadzenia przez nich w 1945 r. działań wojennych na tym terenie...

Z książki „Dolny Śląsk" część II
Poznań — Wrocław 1948

DM 79/02

dów raczej jako kraj Goethego, Beethowena, Kanta, niż jako syntezę junkierstwa i bloków Oświęcimia. My jedni, jako Polacy i Słowianie mamy możność właściwie ocenić przeciwnika, pokazać, jakim jest naprawdę. Pokonać go trzeba jednak nie tylko militarnie, ale tak że, a może przede wszystkim, kulturalnie i gospodarczo. Zniszczyć trzeba czar kultury niemieckiej, pod której wrażeniem żyje i układa swoją politykę zachód. To zaś możliwe będzie tylko wówczas, gdy osiągnięcia nasze w obu tych dziedzinach będą większe, niż osiągnięcia Niemców.

Wystawa we Wrocławiu jest niewątpliwie jednym z etapów na tej drodze. Gdy się patrzy, jak polscy artyści potrafili wzbogacić i upiększyć wnętrze ponurej i ciężkiej Hali Ludowej, jak brzydki pawilon Czterech Kopuł stał się nie tylko zbiorem eksponatów, ale pałacem sztuki, prawda o polskich zdolnościach okazuje się w całej pełni. Ale nie tylko to. Jeśli Niemcy są nieprześcignieni w wymyślaniu narzędzi zbrodni (pamiętam w muzeum Wojsk przed wojną specjalne kańczugi precyzyjnie skonstruowane dla pilnujących więźniów feldfeblów niemieckich, to trzeba powiedzieć, że odbudowa gospodarcza produkcji pokojowej na Ziemiach Odzyskanych wcale nie ustępuje temu, co osiągali tutaj poprzedni wielowiekowi okupanci. To jest najpotężniejszy może atut propagandowy zrozumiały nawet dla najbardziej uprzedzonych. Ta sławna wieża z wiader, pergola zbudowana z balii, te obrabiarki i dźwigi rozpraszać będą jeszcze jeden niemiecki mit o korzyściach, jakie świat odnosiłby z gospodarowania przez Niemców na tych terenach. Ich twórczość zamiast nawozów sztucznych dostarczyła Europie cyklonu, zamiast błyszczących wesołą grą farb siewników i pługów-karabinów maszynowych, zamiast traktorów-czołgów i ciągników do armat. To była synteza niemczyzny na zagrabionym polskim Zachodzie...

ATUTY

Zbyt mało dotychczas podkreślaną zaletą Wystawy Ziem Odzyskanych jest jej jasny język. Przemawiając na bankiecie dla prasy jeden z korespondentów anglosaskich zwrócił uwagę na to właśnie zagadnienie. Chodziło o to, komu Ziemie Zachodnie są bardziej potrzebne. I do czego?! Niemcy tracąc je zmniejszyli swój dochód społeczny o 11 proc. Czy istotnie nie mogą żyć bez niego? Otóż okazuje się, że bynajmniej. Owe 11 proc. to prawie całość inwestycyj zbrojeniowych Rzeszy, które wynosiły 13 proc. ogólnego dochodu społecznego. Tym kosztem, wartością produkcji Z. O. powstawały „żelazne" zastępy führera. Można przypuszczać, że prawdę o skutkach straty Ziem Zachodnich dla Niemiec pojmie każdy nieuprzedzony. W każdym razie Wystawa mu to ułatwi.

W pawilonie 4-ch Kopuł jedna z sal jest w całości wyklejona zielonymi banknotami Reichsmarek. Obok nich niewielkie stożki przedstawionych w kolorze czerwonym polskich złotówek. Jest ich mniej. Znacznie mniej. Ziemie odzyskane to dla Niemiec jeden punkt więcej bogactwa przemienianego na broń. Dla Polski to możliwość życia i rozwoju, to krok ku dorównaniu Europie, to przede wszystkim zapewnienie pokoju w tej części świata. Naprawdę, tę wymowę cyfr łatwo zrozumieć. Ów dziennikarz agencji anglosaskiej bez trudu odgadł, o co chodzi. Może zechcą zrozumieć ją także i politycy...

W imię uczciwości powiedzieć należy jeszcze jedno. O ile Ziemie Odzyskane, stanowią dla Polski bazę przemysłową, dla Niemców przedstawiały wartość ośrodka produkcji rolniczej. Przemysł Śląska był do wybuchu wojny upośledzany systematycznie na rzecz Zagłębia Ruhry. Kapitały lokowano na Zachodzie nie tutaj. Tu był „Nebenland". Ucieczka ludności na zachód spędzała sen z powiek niemieckich polityków. Szukano rady i rzucano miliony z przyczyn militarnych i politycznych nie gospodarczych. Nie pomagało. „Ostflucht" trwał nadal. Interesy pojedyńczych Niemców leżały bowiem gdzieindziej. Tu była tylko strategiczna baza wypadowa i magazyn żywności.

Może więc teraz zabraknie jej Niemcom? Może istotnie trzeba będzie z zapasów światowych żywić byłych SS-manów? I to nie. Niemców stać na kupowanie żywności. Prawda, uzależnia ich to od zagranicy, ale — mój Boże — przecież to jest właśnie sposób, by uniemożliwić im agresję. Rozwój handlu międzynarodowego kosztem, budowanej znowu z przyczyn jedynie militarnych, samowystarczalności jest doskonałą gwarancją zlikwidowania wreszcie niebezpieczeństwa niemieckiego.

Niemcy sami rozumieją to zresztą doskonale. Przedzieżgnąwszy się w niewinne owieczki twierdzą, że gdyby posiadali te tereny mogliby produkować żywność na eksport. Podkreślają korzyści płynące stąd dla wszystkich. A nie mając innych argumentów, wyciągają starą tezę o polskiej nieudolności gospodarczej. „Polacy i tak nie potrafią zagospodarować rolniczo tych terenów. Nawet sami nie zdołają się wyżywić, cóż dopiero eksportować".

Obecni na wystawie goście zagraniczni troskliwie przyglądali się cyfrom. Cóż robić, po wojnie niewiele jest żywności na świecie. Rozumiemy, że polski eksport rolniczy może obchodzić Europę. To jednak, co zobaczyli nie natchnęło ich pesymizmem. Argument pełnego żołądka raz jeszcze okazał się najlepszym atutem propagandowym. Eksport jaj i bekonów do Anglii raz jeszcze spełnił swoje zadanie. Poparł liczby. Ci, którzy przyjadą w sierpniu na Wystawę Ziem Odzyskanych z zagranicy, będą osobiście zainteresowani w poznaniu prawdziwej sytuacji produkcyjnej nowych terenów Polski. BADAĆ będą uważnie a bez sentymentu prawdę każdego wykresu. Otóż jestem przekonany, że polska prawda silniejszą będzie od tez propagandowych niemieckich. Atuty produkcji okażą się mocniejsze. Powinny także okazać się trwalsze. Tak trwałe, by przeważyć argumenty wszystkich niechętnych i uprzedzonych. By każdy zwiedzający bez względu na to, jakie okolice Europy zamieszkuje zrozumiał, że z przynależności Ziem Odzyskanych do Polski wyciągnie większe korzyści, niż gdyby gospodarzyli tutaj Niemcy.

ZADANIA I MOŻLIWOŚCI

Przebywając przez trzy dni we Wrocławiu najstaranniej może oglądałem stoiska eksponatów przemysłowych. Tkwiła w tym prawdopodobnie przekora humanisty, starającego się zrozumieć to właśnie, na czym zna się najmniej. Otóż wrażenia moje syntetyzowaćby można w twierdzeniu, że w tym zakresie zdobyć się musimy na jeszcze większy niż dotychczas wysiłek. Łatwo rozpoznać nawet laikowi, gdzie wytwory przemysłowe zbliżają się do doskonałości, gdzie natomiast wiele jeszcze pozostało do zrobienia.

Nie zachwycił mnie dział maszyn rolniczych. Jest to często jeszcze prymityw, wymagający dalszych studiów i dokładniejszego wykonania. Również pokazane wyroby przemysłu elektrotechnicznego (zegary) wydają się wykończone niedbale. Napewno trzeba będzie skontrolować tę produkcję. Łatwo jednak uwierzyć, że stopniowo zostanie to wykonane. Jeśli poruszam sprawę niedociągnięć, to dlatego, żeby tym bardziej uwydatnić, jak wiele w innych dziedzinach zostało zrobione. I żeby podkreślić, że naród polski jest na drodze do dalszych osiągnięć.

Ten optymizm ma kilka źródeł. O niektórych z nich pisałem w pierwszych częściach tego artykułu. O jednym jeszcze powiedzieć trzeba teraz. Wystawę Ziem Odzyskanych stworzyła cała Polska. Brali w niej udział nie tylko inżynierowie i artyści miejscowi, ale także profesorowie uniwersytetów, graficy, technicy, robotnicy i intelektualiści z pozostałych części kraju. Powstała synteza wspólnej twórczości.

Nie jest to jednak wyłącznie cecha charakterystyczna Wystawy. Jest to także skrót dziejów Ziem Odzyskanych. Tu właśnie na zagospodarowywaniu starych polskich terenów wzięli udział ludzie ze wszystkich stron i biorą nadal. Miejsce zamieszkania przestaje odgrywać rolę. Jeszcze jeden podział tak często w zbytnio rozproszkowanym społeczeństwie został przekreślony. Niedługo różnica między tymi terenami a resztą kraju zaniknie całkowicie. Ziemie Odzyskane przestanie się oznaczać specjalną nazwą, a w słowie Polska brzmieć będzie w równej mierze Wrocław, jak Kraków, Lublin, czy Białystok.

Podkreślić trzeba także, a może przede wszystkim , że w zagospodarowywaniu Ziem Odzyskanych, jak również tworzeniu samej Wystawy brali udział Polacy bez względu na podziały polityczne. Tu rozładowały się i rozładowywać się mogą nadal kompleksy, które tak utrudniają wzajemne zrozumienie w wielu innych okolicach i środowiskach. Im więcej będzie wspólnych osiągnięć, tym bardziej zacierać się będą stare urazy i aktualne nieufności, tym bardziej będzie rosła spoistość społeczeństwa polskiego, które w tej dziedzinie potrafiło być zgodne. Dlatego do Wystawy Z. O. i do całych Ziem Odzyskanych każdy Polak ma równe prawa i każdy narówni może być z dokonanej pracy dumny.

W OCZACH JEDNOSTKI

Zbliża się wieczór. Słońce staje się mniej dokuczliwe, coraz łatwiej znaleźć mityczny w ciągu dnia cień. Większość zwiedzających zbliża się do Hali Ludowej, by obejrzeć przedstawienie baletu. Inni wolą wesołe miasteczko. Jeszcze inni wypoczywają nad szklaneczką wina. Są trochę powolni i jakoś przyjemnie przyziemni. Patos pierwszych chwil zwiedzania jest poza nimi. A przecież w tej chwili, w tych zwyczajnych rozrywkach dokonuje się ważne zdarzenie. Ziemie Odzyskane przestają być plakatem propagandowym, twardym wysiłkiem, wycieczką od święta. W świadomości tych wszystkich ludzi stają się czymś zwykłym i przez to właśnie tak bardzo koniecznym. Myślę, że zadanie Wystawy Wrocławskiej zostanie spełnione wówczas, gdy każdy człowiek w Polsce, bez względu na to, jaką jej część zamieszkuje, będzie miał do nich jak najprostszy a zarazem jak najbardziej osobisty stosunek. Gdy zrozumie, że granica zachodnia to nie hasło patriotyczne, ale jego najbardziej bezpośrednia korzyść. Dopiero bowiem wówczas znikną wszystkie opory i nieufności. A sprawa Ziem Odzyskanych będzie tak oczywista, jak sprawa każdego innego hektaru Polski.

Mieczysław Kurzyna

Ryszard Reiff

KARTKA

Z początku to chyba przez pomyłkę zaczęły nachodzić nasze mieszkanie jakieś niemieckie draby, zdradzając zainteresowanie moją osobą i wykazując przy tym niewypowiedzianą pomysłowość w doborze godzin składania wizyt.

Działałem więc roztropnie, wchodząc do bramy z traperską czujnością. Ostatnie piętro do drzwi wejściowych przebiegałem na palcach, chwilę podsłuchiwałem, lustrowałem przez dziurkę od klucza przed pokój i nie odejmując oka — dzwoniłem, gotowy do zjeżdżania szusem po schodach w wypadku ukazania się niepożądanej osoby, zamiast naszej niezrównanej, podczas niebezpiecznych wypadków służącej Stefci. Przyznaję, że wtedy robiłem to wszystko nie tyle z przekonania, rozmiłowany w ryzyku całą dufną w swą szczęśliwą gwiazdę, osiemnastoletnią młodością, co dla nieodpartego uroku wykonywania czynności ubezpieczających, w tak podnoszących moją wartość okolicznościach. No i odrobiny ciekawego, drażniącego strachu.

W mieszkaniu czułem się zupełnie pewnie. Może to była forma samobrony broniącego się lekkomyślnością systemu nerwowego, ponieważ, ze schodów można było jakoś nawiać przed tymi, którzy byli w mieszkaniu, jeśli ich zauważyć w czas, natomiast z mieszkania przed policją czekającą na schodach — nie.

Tak więc przychodziłem prawie codziennie, nocowałem ze dwa razy na tydzień żerując w ten sposób na zdrowiu reszty domowników, którzy przeżywając osobiście naloty agenciarskich indywiduów, czuwali w czasie mojej obecności przy oknach i nadsłuchiwali w nocy czy ktoś się nie dobija do bramy.

Ta nieustanna troska serdeczna i niezmordowana czyniła, że w tym domu miejscu dla mnie najniebezpieczniejszym czułem się najspokojniej. Ze swej strony, jak na bojowca przystało, obszedłem strych, zbadałem wyjście przez dach, przystawiłem drabinę na sąsiedni dom i z godnością nosiciela straszliwych tajemnic konspiracji i przebiegłością przyszłego adepta czynów, których wyobraźnia czyniła mnie uczestnikiem, „migałem" się gubernialnym opiekunom.

Wypadki „cudownego ocalenia" t. zn. wkraczanie policji zaraz po moim wyjściu docierały całym ogromem grozy do mojej świadomości. Żyłem upojony niebezpieczeństwem, narkotykiem każdej młodości. Udawało mi się. Łańcuch tych niefrasobliwych igraszek, niszczących spokój reszty mojej rodziny, o których wiadomo jakby się skończyły, przerwał pewien błahy zresztą wypadek, który jednak wstrząsnął mną bardzo. Była to wizyta ośmiu żandarmów o północy, których obudzona, dobijaniem się do bramy Stefcia zobaczyła przez kuchenne okno wchodzących na schody wiodące do naszego mieszkania. Czytałem w swoim pokoju książkę. Na usunięcie trzech powielaczy stojących przed moim łóżkiem, na których pracowałem z kilkoma kolegami w godzinach przedpołudniowych, wtedy kiedy to wszyscy starsi byli nieobecni było za późno. Notatki, zapiski, stare gazetki wszystko to było porozsuwane po różnych szufladach, pogubione między książkami.

Ledwie zacząłem je zbierać rozległo się łomotanie do drzwi, za chwilę dzwonek, najpierw krótki, potem długi, ciągły, bez przerwy. Znieruchomiałem. Nie mogłem się ruszyć jakby czekając na pauzę w tym dzwonieniu. W mieszkaniu tymczasem wybuchła panika. Pierwsza wpadła do mojego pokoju matka. Nie mogła wymówić słowa, w spojrzeniu jej czytałem nieme pytanie: czy nie ma nic kompromitującego. Boże! Miałem i to wszędzie, niechlujnie rozrzucone, sam nie wiedziałem gdzie. Usłyszałem ciężkie kroki ojca idącego otwierać drzwi. Stefci już nie było. Złapała co się dało i pognała do kuchni, gdzieś to wtykać. Zrobiło mi się strasznie. Zdałem sobie sprawę, że zgubiłem całą rodzinę.

Żandarmów był cały przedpokój. Zrozumiałem jedno słowo: verdunklung. To w swoim pokoju zapomniałem opuścić czarnej zasłony na okno, które wesoło świeciło pośród czerni zaciemnionego miasta. Takie jarzące okno jaskini konspiratora czytającego książkę. Pod jakimś żandarmskim kołnierzem bulgotało falsetem r, jakiś rękaw żandarmski wypisywał mandat. Ojciec liczył pieniądze. Po chwili byliśmy sami. Całą noc najciszej jak mogłem porządkowałem swoje papiery. Przygotowałem dużą paczkę archiwalnych nielegalności i rano ewakuowałem ją zaraz z powielaczami do świeżo wynajętego pokoju. W następnej kolejności przeniosłem do niego całą bazę swojej pracy i wreszcie przeprowadziłem się sam.

Jak się wkrótce okazało był na to najwyższy czas. Przygodą tą posłużyła się Opatrzność: następna wizyta Kripo miała charakter bardziej konkretny: polegała na szczegółowej rewizji, a nie jak dotychczas na zaskoczeniu mnie w domu.

***

Tak więc wyemancypowałem się z domu całkowicie. Dobiegałem dziewiętnastu lat, nosiłem fałszywe dokumenty, i mieszkałem samodzielnie w pokoju - powielarni, w którym całą dobę działo się coś „konspiracyjnego".

Do pokoju tego wprowadziłem się jako trzeci. Rezydowało już w nim dwóch działaczy z podobnie spalonymi możliwościami przebywania w pieleszach.

Jednym z nich był mój przyjaciel Tadek, drugim mój kuzyn, nieskomplikowanie zwany Parzygnatem rodzinnego domu. Aby nie uronić nic z uroku pełnego poświęcenia się sprawie, a jednocześnie nie narazić na szwank naszej dojrzałości w oczach własnych rodzin, postanowiliśmy utrzymywać się z wypłacanych rzadko i z ociąganiem się głodowych etatów organizacyjnych i nie korzystać z żadnych zasiłków domowych. Skutki tego okazały się w praktyce najfatalniejsze. Ściany naszego pokoju, patrzącego z pierwszego piętra dwoma oknami na Plac Krasińskich, umeblowanego dwoma łóżkami polowymi, pożyczonym stołem kuchennym obitym piękną połyskliwą niebieską bibułą i chwiejnym krzesełkiem wielokrotnie słyszały wieczorne, szeptem snute, trzygłosowe marzenia o potrawach wymyślnych i smakowitych. Było nam jednak dobrze: od dziesiątej do drugiej po południu były godziny tzw. urzędowania, w czasie którego przewijało się kilkanaście i więcej osób. Łączniczki przynoszące meldunki, które przekazywaliśmy dalej własną łącznością „skrzynki", kolporterzy zabierający odbite poprzedniego wieczora na na owych trzech powielaczach materiały, maszynistki piszące na matrycach do dzisiejszego powielania i masa gości przesiadujących godzinami i palących intensywnie z braku innego zajęcia. Z niedopałków

Z PAMIĘTNIKA

pozostawionych wszędzie składała się niejednokrotnie nasza kolacja, gdy jakiś niezwykły wypadek nie przerywał zwykłego i chronicznego braku pieniędzy w organizacji. Po czterech godzinach wysiadywania za „biurkiem" na chromym krześle wychodziliśmy na miasto w poszukiwaniu obiadu i ewentualnych suchych produktów na kolację. O piątej uruchamialiśmy powielacze, o dziesiątej wolno nam było, według umowy z gospodynią palić już tylko świeczkę i rozmawiać szeptem. Ten jeden warunek dochowywany starannie i skrupulatnie utrzymywał nas w mieszkaniu i ratował przed bezapelacyjnym wyrzuceniem, nie płaciliśmy bowiem. ani „nie wychodziło" nam jakoś zameldowanie, nigdy przecież — oburzaliśmy się szczerze — nie mogliśmy zastać administratora z poprzedniego miejsca zamieszkania i otrzymać odcinków wymeldowania. W ogóle pokój był wynajęty jednemu i panią tę trapił ciągły niepokój, czy liczba trzech lokatorów jest ostateczna. Poza tym nieprzyjemny cień na nasze osoby rzuciło wynikłe odrazu na wstępie przy prezentacji małe qui pro quo. Parzygnat, który był pierwszym lokatorem mówiąc o nas podał inne nazwiska, niż te, którymi potem przedstawiliśmy się. Dobyty jednak z pugilaresu gruby pakiet górali pożyczony na pięć minut od kogoś kto miał kupować broń i opłacone pierwszy i jedyny raz komorne za miesiąc z góry przeważyły decyzję na naszą korzyść. Nie bez znaczenia również, sądzę, była nasza ujmująca kawalerska powierzchowność, z której ta szlachetna matrona wyciągnęła prawdopodobnie wnioski, mając na wydaniu córkę, o której zaletach po udobruchaniu się wspomniała mimochodem. Ponieważ oprócz córki mieszkała także w charakterze sublokatorki jej koleżanka, postanowiliśmy nie okazywać się gburami i urządziliśmy butelką wina z tuzinem „bajaderek" oblewanie „nowosiela". Na tę intencję wygrzebały panienki jakiś antyczny gramofon i od tego wieczoru zaczęła się zgoda z mamą, flirt z pannami i zażarta rywalizacja między nami.

Szczęście było zmienne. Konflikt jednak szczególnie ostro występujący między Tadkiem a Parzygnatem pogłębiał się po każdej sprzeczce przeprowadzonej straszliwym szeptem po godzinie 10 wieczorem przy świeczce. „Szypiaszcze" przekleństwa przerywał ciągle łomot składającego się pod Parzygnatem polowego łóżka, które nie znosiło żadnych gwałtownych ruchów. Wyskakiwał wtedy w rozprutej od pachy — do samej ziemi długiej bieli, szukał bezradnie dłońmi położonych gdzieś na podłodze okularów i montował wrażliwe posłanie. Wtedy to z za drzwi dochodziło nas westchnienie starej damy i to był sygnał że trzeba spać. Czasem tylko po godzinie ciszy Parzygnat, który miał słabsze nerwy rzucał przejmującym szeptem jakieś miażdżące zdanie, udawał że się odwraca na drugi bok, na co nigdy by mu łóżko nie pozwoliło i tak kończył się dzień.

Była to wczesna wiosna 1942 roku. Na jesieni miał wyruszyć w pole pierwszy partyzancki UBK. Potrzeby organizacyjne bardzo wzrosły; trzeba było pomyśleć o kupnie broni dla tych, którzy mieli uzbroić następne bataliony zdobywając ją na niemieckich posterunkach, trzeba było przygotować minimum zaopatrzenia. Pieniędzy nie mieliśmy. Do pierwszych kilku pistoletów zostało dobranych dziesięciu ludzi mających wykonywać akcje na niemieckie objekty, w których można było zdobyć broń lub pieniądze. Do dziesiątki tej weszliśmy z Tadeuszem, na Parzygnacie zaś spoczął cały ciężar pracy organizacyjnej.

Po skompletowaniu strojów charakteryzujących nas na rasowych apaszy całkowicie różnych od noszonych normalnie, z pistoletami bez gwarancji czy przy pierwszym strzale nie rozlecą się w ręku, poszliśmy na pierwszą akcję. Nazywało to się tajemniczo i dostojnie ekspropriacją. Rozstawienie było normalne: dwóch na ulicy — „obstawa", jeden w bramie czuwający nad dozorcą, aby przez zbytnię gorliwość nie zechciał zamykać bramy w razie alarmu, reszta po połowie od wejścia kuchennego i frontowego.

Następnie władający najlepiej niemieckim, ubrany w części mundurów najróżnorodniejszych broni, partii i urzędów ustawiał się z marsową miną naprzeciw „judasza" w drzwiach i na pytanie Niemca kto tam, ryczał basem: „Geheime Staats polizei"! Niemcy w tym czasie nie byli jeszcze bardzo doświadczeni, otwierali więc łatwowiernie drzwi. Wtedy akcja się udawała. Łupy bywały czasem tak bogate jak zdobyty pistolet, dużo amunicji do dziewiątki, pieniądze, autentyczny mundur, tak przydający się w następnych akcjach, wzory niemieckich dokumentów. Zakończenie zawsze było najnieprzyjemniejsze, ponieważ wypady rozpoczynane o świcie zaraz po otwarciu bramy trwały czasem do ósmej lub dziewiątej rano i delikwenci zamykani na liche zameczki łazienek i ubikacji, mogli przed opuszczeniem domu dorwać się do okien i narobić alarmu. Czasem jednak wracaliśmy z pustymi rękami, a nierzadko wprost spod drzwi gnani przejmującym wyciem całego niemieckiego bloku. Trudno też się dziwić, że na ulicy spotkanemu patrolowi żandarmów wydawała się podejrzaną wataha pędzących młodzieńców z pistoletami na wierzchu — i wtedy — trzeba było czasem strzelać. Najwięcej „nerwów" kosztowały chwile pod drzwiami certowania się z nieprzekonanymi Niemcami, którzy uprzejmie odmawiali wpuszczenia nas, tłumacząc się licznymi napadami i przepraszali za zwłokę, wywołaną telefonicznym sprawdzeniem naszej tożsamości na niemieckim posterunku. Najwięcej natomiast zdrowia zjadały nam gwałtowne ucieczki, w czasie których męczyło się porządnie. Bilans jednak był dodatni. Płynęły tygodnie, wykonywaliśmy prawie codziennie po jednej, a czasem i dwie akcje, bez strat własnych. Wypuszczaliśmy się także na całonocne wypady w rejony podwarszawskie. Szło nam to coraz składniej, powoli jednak stawaliśmy się coraz bardziej nerwowi, a świadomość naszą opanowywała dokuczliwa, nie do oddalenia myśl, że przecież tak nie może być wiecznie, że musimy wreszcie wpaść.

Zaczęliśmy otrzymywać urlopy. W czasie takiej kilkudniowej przerwy postanowiliśmy poprawić naszą podupadłą reputację u gospodyni, bowiem wymykając się w przebraniach o świcie na akcję zawsze tłomaczyliśmy, że wyjeżdżamy w ważnych interesach z Warszawy i zawsze albo spóźnialiśmy się na pociąg lub coś nam wypadało i wracając po kilku godzinach zmienialiśmy podróżne szatki i odkładaliśmy wyjazd na następny dzień. Przez pierwszy tydzień współczuła nam i dziwiła się pechowi jaki nas prześladował, przez drugi milczała przenikliwie nas obserwując, a w trzecim nie patrząc nam w oczy napomknęła, że jeszcze nie jesteśmy zameldowani, że do naszego biura tyle osób przychodzi no i te paki wynoszone i przynoszone całe dnie.

Zaczęliśmy więc udawać poważnych kupców. Gdy tylko nasza pani była w domu, dyktowaliśmy bezmyślnie Parzygnatowi na maszynie fikcyjne podania i oferty świadczące o rozległych interesach naszego biura, na ścianie zaś na naprzeciwko drzwi wywiesiliśmy ogromny napis głoszący, że na terenie biura o polityce rozmawiać nie wolno. W wolnych chwilach obliczaliśmy donośnie jakieś rachunki i procenty zysków. Po kilku dniach jednak zaniechaliśmy tego ostatniego, zapytano nas bowiem z nienacka dlaczego nie płacimy komornego, nie jadamy śniadań i kolacji i nie oddajemy do pralni bielizny pościelowej. Poza tym przytrafiło nam się kilka poważnych potknięć towarzyskich, z których najokropniejsze było to, że jedna z panienek złapała Parzygnata na wyjadaniu skórek od chleba składanych dla gołębi na balkonie. Nieprzyjemnym również był wypadek z rozbitą przez nieuwagę muszlą w toalecie posklejaną przez Tadka stearyną, która jednak rozleciała się zaraz z rana natychmiast po wejściu jednej z pań. No wreszcie przygoda z kotem ulubieńcem pani domu, który w czasie zabawy z nami wspaniałym łukiem wyskoczył przez okno naszego pokoju na plac i w popłochu zaczął uciekać Miodową. Dopadliśmy panikarza dopiero w jakiejś owocarni.

Serię tych niepowodzeń przeważa jednak nagłe zniknięcie jednego z sublokatorów tego rozległego mieszkania, który okazał się Żydem, o czym zawiadomił gospodynię listownie wraz z ostrzeżeniem, że mogą go u niej szukać. Pogodzeni w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa odbyliśmy naradę, na której ustaliliśmy, że zajmujemy ten, pokój zawsze od wczoraj i z której wynikło, że dwóch z nas jest urzędnikami, takie bowiem mieliśmy papiery, które dla uspokojenia pokazaliśmy i w godzinach biurowych nie ma nas w domu, a trzeci — Parzygnat jest muzykiem, grał bowiem na fortepianie, co również nie raz na tutejszym instrumencie zostało stwierdzone. Ze swej strony zlikwidowaliśmy część bibuły i antypolityczny plakat na ścianie.

Potem nic już domowników w naszym zachowaniu nie dziwiło. Na akcje chodziliśmy dalej, aż do dnia, kiedy otrzymałem w kolejności urlop. Wyjechałem rano pod Warszawę. Na drugi dzień po południu zjawił się niespodziewanie Parzygnat. Zorientowałem się natychmiast, że stało się coś złego. Odwołał mnie na bok i zmęczonym głosem opowiedział o wypadkach, jakie zaszły po moim wyjeździe. Wczoraj jeszcze została zdecydowana akcja, na którą zmobilizowano wszystkich obecnych z dziesiątki. Miała odbyć się w centrum miasta, w bardzo ruchliwym punkcie. Niebezpieczeństwo było duże. Odłożono ją do następnego dnia rano. Tadek z odprawy wrócił dziwnie zamyślony, nie żartował, nie dokuczał nikomu, co zdarzało mu się tylko wtedy, gdy był chory, to zn. bardzo rzadko, ponieważ siły w niezbyt rosłym człowieku były ogromne. Parzygnata zastanowiło to — nic dziwnego, sam bym się zdumiał bardzo — tym bardziej, że wieczorem położył się wcześnie spać i nie odpowiadał na żadne zaczepki. Nie dał się nawet wciągnąć w dyskusję o kobietach, przy którym to temacie ożywiał się zazwyczaj niezmiernie. Coś go męczyło. Parzygnat usnął niezadługo jednak łóżko złożyło mu się dwukrotnie w nocy i za każdym razem zaklinał się, że nie kłamie, — Tadek leżał z otwartymi oczami i nawet w miejsce kąśliwej drwiny, radził jak je rozłożyć. Bardzo to go zaniepokoiło. Rano gdy się obudził, Tadka już nie było, nie było również wypadowego ubrania na którego miejscu wisiał codzienny garnitur. O dziesiątej kiedy Parzygnat wychodził, Tadka jeszcze nie było. O dwunastej, kiedy wrócił pokój był pełny, zwykłych interesantów. Na ścianie wisiało nietknięte ubranie. Ponieważ akcje te były specjalnie konspirowane wewnętrznie w organizacji, Parzygnat nie mógł się dzielić swoimi obawami z nikim z przychodzących. O pierwszej nie wytrzymał i wybiegł na miasto. Gdy wrócił — garnitur wisiał nieruszony. Parzygnatowi zrobiło się nieswojo. Podszedł do okna i czekał. O czwartej przybiegła łączniczka i z płaczem powiedziała, że wpadło wszystkich siedmiu uczestników. Bronili się z piwnicy, dwóch jest ciężko rannych i nie wiadomo gdzie są przewiezieni, reszta siedzi na Daniłowiczowskiej. Należy likwidować mieszkanie, powiadomić wszystkich, ściągnąć mnie z urlopu. Więcej Parzygnat nie zdołał się dowiedzieć. Był już późny wieczór.

Pojechałem do Warszawy następnego dnia rano. Na Placu Krasińskich przywitały mnie wszystkie panie spazmami. Czy wie pan, że pan Tadek nie żyje? Zginął, zastrzelili go Niemcy! coś strasznego się stało, bo wczoraj wszystko z pokoju ci przychodzący interesanci panów wywieźli, a kuzyn całą noc przesiedział przy oknie i jak się żegnał dziś rano miał oczy zapuchnięte od łez.

Zajrzałem do pokoju. Był jak wiatrem wymieciony, tylko w kącie leżał plakat starannie wypisany tuszem: „Na terenie biura o polityce rozmawiać nie wolno".

Wyszedłem stamtąd z uczuciem jak po zwiedzaniu miejsca z przeszłego życia. Nie uświadamiałem sobie własnego szczęścia z ominięcia wilczego dołu, w który wpadli tamci. Czułem natomiast nieomal fizycznie, że dołami takimi pokryty jest cały teren, po którym stąpam.

Zameldowałem na jakimś punkcie swoją obecność. Wrzało na nim przygotowaniami do nowej akcji — tym razem akcji ponad dotychczasową miarę: odbicia pięciu z Daniłowiczowskiej. Rozkazy zostały wysłane na prowincję celem ściągnięcia długiej broni i granatów. Drużyna kobiet utrzymywała ciągłą łączność między grupami pod bronią, czekającymi w różnych punktach miasta. Trzech nas, którzy oczekiwali z tej dziesiątki miało funkcję w grupie bezpośrednio odbijającej. Por. Kowalski rozpracował kontakty wśród agentów z Daniłowiczowskiej, zdobywał codziennie informacje o miejscu pobytu uwięzionych, o przebiegu badań, płacił bajońskie sumy za wzory blankietów i pieczęci kursujących w tym urzędzie. Nasi trzymali się dobrze. Na badaniach byli systematycznie masakrowani, każdy siedział w osobnej celi, nierozkuwali ich ani na chwilę. Wszyscy wierzyli, że przyjdziemy im z pomocą. A tymczasem po tej stronie więzienia przygotowywano się w najdrobniejszych szczegółach. Czwarty już dzień zbieraliśmy się w kilku punktach o ósmej rano i czekaliśmy na rozkaz akcji do szóstej po południu. Wreszcie — dzisiaj. O dziesiątej w grupie sześciu — zajęliśmy miejsca w Cukierni Uniwersyteckiej na Krakowskim Przedmieściu. Po godzinie czekania każdy z przydzieloną łączniczką maskującą prawdziwy cel tych spacerów przesunął się do bramy, w której mieliśmy czekać na samochód. Upłynęło trzy godziny czekania w niesłychanym napięciu i zamiast samochodu przyszło — odwołanie. Do jutra. Okropne były te godziny niczym nie dającego się zabić czasu. Na drugi dzień historia się powtórzyła. Trzeciego dnia przesunęliśmy się aż na plac Teatralny do kawiarni „Muza". Czekaliśmy w niej siedem godzin. Opici do mdłości czarną kawą rozchodziliśmy się złamani zupełnie. Nie rozstając się z błonią nieomal pragnęliśmy spotkania z Niemcami, żeby przerwać tę nie do zniesienia oddalającą się chwilę akcji, którą chorobliwie pracująca wyobraźnia czyniła coraz bardziej niewykonalną i straszną. Wydawało się, że wbrew samym sobie nie będziemy w stanie przyjść następnego dnia, jeśli jeszcze dzisiaj jej nie wykonamy. By za chwilę znowu, z całą nędzą tchórzostwa przez ułamek sekundy bojaźliwie i nieomal błagalnie spoglądać przez szklane drzwi czy nie idzie łącznik z rozkazem, że trzeba iść i — ginąć.

Nie mieszkałem wtedy prawie nigdzie. Spoczątku nocowałem po różnych melinach, które ktoś z kolegów wynajdywał. Raz poszedłem na chybił trafił, nie pamiętając żadnego z wprowadzających nazwisk. Była godzina policyjna, — zostałem więc czuwając jak zwierzę pod drzwiami, czy ktoś nie zamierza zdradzić. Przy którymś z aresztowanych znaleziono moją fotografię podpisaną nazwiskiem. Trafili po niej do domu. Wszyscy domownicy byli przesłuchiwani. W czasie rewizji znaleźli więcej moich fotografii, z których rozpoznali mnie Niemcy z miejsc wykonywanych poprzednio akcji. Po Gubernii krążyły listy gończe z rysopisem, a agenci warszawscy mieli odbitki zdjęć. Nie siedziałem — wszyscy więc zgodnie zeznali, że jestem ich dowódcą.

Minął tydzień. Przestałem szukać noclegów. Wyjeżdżałem wieczorem do Włoch do jakiegoś prywatnie prowadzonego domu gry. Wygrywałem bez przerwy. W życiu nie miałem podobnego szczęścia. Kupiłem jakąś sensacyjną książkę, którą czytałem w każdej wolnej chwili, aby na moment nie zostać z pustką własnych myśli, by nie zajmować się żyjącym przecież normalnie światem.

W ciągu tych dziesięciu dni koncepcje akcji zmieniały się kilkakrotnie. Żadna jednak nie dochodziła do skutku. Wydawało się, że na niczym spełzną wysiłki całej organizacji, która od dziesięciu dni pracowała nad zwolnieniem tamtych pięciu. Wożono ich stale na badania, nam nawalał samochód, zawodziła łączność z więzieniem.

Wreszcie wiadomość: za dwa dni mają być wywiezieni na Szucha. Stamtąd droga wiodła już tylko na Palmiry, a więc jutro i pojutrze. Akcja miała się odbyć bez względu na przeszkody. Taka była decyzja. Czytałem powieściidło do końca, podząc na łeb na szyję. Jak to zwykle bywa rozwiązanie skłębionych konfliktów miało nastąpić dopiero na ostatniej stronie. A czasu było mało.

Wtedy to po wszystkich grupach podawane w najściślejszej tajemnicy z ust do ust, obiegło nazwisko: kapitan Bruno. Nikt go wtedy z nas nie znał. Zgłosił on podobno przez którąś z łączniczek gotowość wykonania odbicia według własnego planu, podejmując się akcję tę przeprowadzić osobiście. Znał perfekt niemiecki, prezencję miał znakomitą. A poza tym wzbudzał nieograniczone zaufanie swym spokojem, w którym czaił się spryt i oriente-

W świecie...

W NIEMCZECH

SYTUACJA w Niemczech zaczyna wchodzić w jakiś stan chroniczny. Nie ma w tej chwili znaków na niebie ni ziemi, by któraś ze stron chciała zmienić swoje postępowanie. W Berlinie zaczyna gospodarczo zwyciężać strona radziecka, z tego już choćby względu, że Berlin otoczony jest zapleczem okupacji radzieckiej. „Most powietrzny" wprawdzie funkcjonuje nadal, ale jego znaczenie gospodarcze jest w gruncie rzeczy minimalne. ZSRR gotowe jest wziąć na siebie trud aprowidowania Berlina, dostarcza trzem pozostałym sektorom elektryczności itp., rzecz jasna czyniąc to nie tyle, by pozyskać sobie Niemców, ile, by wykazać światu i Anglosasom, że pobyt tych ostatnich w Berlinie nie ma żadnych gospodarczych racji. Istnieją tylko racje polityczne; — wydaje się, że Anglosasi montując państwo zachodnio-niemieckie, na co ostatnio zgodę wyrazili niemieccy premierowie rządów krajów położonych w zachodnich strefach okupacyjnych, — równocześnie postanowili uczynić z Berlina bazę wypadową z zadaniem destrukcji życia w strefie radzieckiej. Stąd nieuzasadnione ekonomicznie wprowadzenie nowej zachodniej waluty do części Berlina, stąd próba dezorganizacji berlińskiej policji porządkowej, stąd — ostatnio — decyzja (jakoby?) utworzenia odrębnego zarządu miejskiego dla trzech sektorów. Wprawdzie mówi się dosyć głośno o tym, że gen. Clay będąc niedawno w Waszyngtonie skarcony został za zbyt ostrą politykę na terenie Berlina, wprawdzie Bevin wypowiedział się w sensie pozytywnym dla ewentualnego wznowienia rozmów Czwórki na tematy niemieckie, ale w praktyce powyższe enuncjacje i wiadomości nie znajdują jeszcze ciągle najmniejszego nawet potwierdzenia.

Z poważnych skandali, jakie są do zanotowania na terenie Niemiec Zachodnich — charakterystyczne jest niewątpliwie uniewinnienie 23 dyrektorów i kierowników I. G. Farben, które to zakłady dostarczały cyklonu do obozów koncentracyjnych.

RZĄD MARIE

UTWORZONY został nowy rząd francuski w skład którego wchodzi 7 socjalistów, 6 z MRP, 4 radykałów i dwóch tzw. niezależnych. Sensacją tego składu jest brak w nim min. Bidault'a—ministra spraw zagranicznych od wyzwolenia Francji. Jakoby Bidault opuścił Quai d'Orsay pod naciskiem USA, gdyż był zbyt upartym w swych poglądach na sprawę niemiecką, a poglądy te różniły się od amerykańskich. Następcą Bidault'a jest eks-premier Schuman. Drugą sensacją jest udział Paul Reynaud (premier Francji z wiosny 1940 r., który dymisjonował w czerwcu 40 r. na rzecz Petain'a) komasującego stanowisko ministra finansów i gospodarki narodowej. Partia komunistyczna zgłosiła w parlamencie szczególnie mocny protest przeciw udziałowi Reynauda, któremu zarzuca głoszenie zdecydowanie anty-robotniczego programu gospodarczego.

O. N. Z.

KOMISJA ONZ dla spraw zbrojeń zwykłych 9 głosami przeciw dwóm (ZSRR i Ukrainy) przyjęła projekt brytyjskiej rezolucji, który w zasadzie oznacza odroczenie obrad nad redukcją zbrojeń na czas nieograniczony. Podobnie postąpiono wcześniej z komisją kontroli energii atomowej. Decyzje te biorą się stąd, iż dotychczas między głównymi mocarstwami nie ma ani obupólnego zaufania, ani uzgodnienia podstawowych punktów, na jakich winien opierać się porządek światowy.

cja człowieka, który w każdej sytuacji da sobie radę. Opowiadano o jego odwadze i zamiłowaniu do najbardziej niebezpiecznych przedsięwzięć. Kapitan Bruno!

On to dziś w nocy bez żadnego ubezpieczenia, ubrany w mundur hauptmana SS w otoczeniu pięciu mundurowych i cywilnych „gestapowców", z fałszywymi papierami na wydanie pięciu więźniów miał zajechać przed bramę Daniłowiczowskiej i rozegrać partię, w której stawką do wygrania było życie pięciu kolegów, do przegrania życie własne i czterech towarzyszy.

Jeśli w nocy akcja nie doszłaby do skutku, kapitan Bruno miał dowodzić atakiem na więzienie rano. Był to dzień ostatni. Po nocy tej wiedzieliśmy, że akcja odbędzie się bezwarunkowo. Byliśmy nieomal spokojni — pewnością. Czekaliśmy od świtu już nie na punktach zbornych, a odrazu na punktach, z których mieliśmy atakować. Szczegóły planu i rozstawienie każdy znał na pamięć.

Szedłem na swój punkt wolno. Miałem kilka minut i trzydzieści stron niedoczytanej książki. Pękała od zagadek. Każdy wiersz przynosił niespodziankę. Poszlaki i wątki zaczęły się nagle zbiegać z niesamowitą szybkością. Nie byłem w stanie o niczym myśleć, jakby najważniejszą rzeczą było skończenie tej książki. Spojrzałem na zegarek: było pięć minut po czasie i dziesięć stron do końca. Dlaczego nikt nie przychodzi? Ostatnie dwie kartki... Idzie! Trzeba się spieszyć. Pół strony epilogu. Jakieś bardzo mgliste uczucie zdziwienia: łącznik promienieje tłumionym uśmiechem. Ostatnie wyrazy... Koniec.

Czuję walącego się na mnie tego dużego chłopca z łączności. Słyszę, że coś mówi.

Jedno słowo: wolni!

***

W kilka tygodni potem w podlaskiem, w lesie spotkałem się z Tadeuszem.

— Jak się czujesz?
— Jak widzisz.
— Żyjesz?
— Niema wątpliwości.
— Opowiadaj.

— Jak nasze mieszkanie? Bo wiesz spałem pod oknem i zaziębiłem się. W więzieniu dostałem anginy. Plułem twardymi jak kość strupami. Tak... Oczywiście z ciebie zrobiliśmy herszta. Potem ta noc, kiedy przyjechał Bruno. Widzisz: na wolność puszczają przed południem, po południu brali na badania, w nocy na rozwałkę. Byliśmy skuci. Bruno w całym więzieniu zrobił piekło. Jeden z naszych go poznał i myśląc że jest rzeczywiście agentem niemieckim chciał mu coś powiedzieć. Bruno pozbawił go tej chęci. Przy tym nam wszystkim się dostało. Potym upychanie w samochodzie. Wreszcie odjazd i... polskie słowa. Nasze komendy tak dobrze znane z akcji. Rozkuli nas i wtedy zrozumieliśmy. Dalej nie pamiętam. Jakbym wpadł do studni. Obudziłem się w mieszkaniu. Tak... Co z Parzygnatem?

— W porządku. Jest w Warszawie.

Las budził się z brzaskiem nowego dnia. Słońce wschodziło.

— Idziemy spać Tadek.

Ryszard Reiff

Barbara Lipczyńska

BIEDRONKA

Poniżej drukujemy nowelę Barbary Lipczyńskiej, nagrodzoną w r. 1947 na Konkursie Zw. Kół Polonistycznych w Polsce.

REDAKCJA

Mgła opadała coraz niżej. Z góry przenikały ją już gdzieniegdzie ostre promienie słońca i lśniły w małych kropelkach na zeschłych badylach burych kartoflisk i gałązkach starych wierzb przydrożnych. Coraz wyraźniej rysowały się w dali szare kontury wsi. Z za jednej ze stodół wysunęły się dwa ciemne kształty; ku szosie posuwała się wolno błyszczącą od rosy miedzą pochylona, owinięta chustką kobieta, wiodąc na sznurze krowę. Na ręku niosła dziecko. Poniżej ramienia staruszki wystawała ciekawie jasna główka, a małe rączki usiłowały rozsunąć krępującą ich zdobywczą przedsiębiorczość chustkę.

Kobieta z trudem przeszła rów przydrożny i ciągnęła opierającą się krowę ku małej, wysrebrzonej rosą łączce, położonej po drugiej stronie szosy.

— A pódzies Krasula! — krzyknęła równie głośno jak bezskutecznie.

Sznur naprężył się. Srokatej krowinie zasmakowały chwasty właśnie z tego rowu. Z zajęcia babki skorzystał dzieciak. Wysunął się do połowy z pod chustki i machając rączkami ku krowie, wołał coś do niej po swojemu.

— Będzies ty cicho! — skarciła go babka i nie mogąc sobie poradzić, owinęła chłopca ciasno w chustkę, posadziła na pryźmie kamieni i zabrała się energicznie do krowy. Po chwili Krasula wolna już od tyranii sznura skubała spokojnie trawę łączki, a staruszka, siedząc na kamieniach, karmiła malca mlekiem z butelki. Promienie słońca coraz śmielej rozpraszały ranną mgłę. Jeden z nich zajaśniał nagle na jasnych włosach dziecka. Mała buzia przestała już ssać smoczek butelki i rozchyliła się w spokojnym oddechu, powieki zasłoniły niebieskie oczy i chłopczyk zasnął. Babka przykryła go troskliwie chustką, wyjęła z zanadrza różaniec i przeżegnawszy się w stronę okolonej krzakami figury Matki Boskiej zaczęła przesuwać powoli jego ziarenka, poruszając bezzębnymi ustami.

Było cicho. Szare pola tkwiły nieruchomo w martwocie jesieni. Bujne życie lata opuściło je niemal zupełnie. Dał się słyszeć daleki turkot. Babina podniosła głowę. Nasłuchiwała chwilę, na twarz jej wpełzała wolno trwoga i znękanie.

— O Jezu! Już pewno te antychrysty niemcy po ludzi na okopy.— Spojrzała w górę — tak będzie już wpół do siódmyj. O Jezu! Żeby choć nosego Franka nie zbili dzisiaj. Co im zawinił psiekrwiom, jedyn dzień nie posedł do roboty, a gębe mu całkiem rozbili. Żeby choć tego chudego śwaba nie było. Bez niego tyle ludzi w obozie karnym. I Józek Kosibów i Marynka Grzymałowskiej i Stosek Majik i... O Jezusicku a to co?! — Z przeciwnej strony, naprzeciw zbliżającej się furmanki wyłoniła się z mgły grupka ludzi. Na przedzie szło dwóch młodych chłopców. Mieli ponuro schylone głowy i założone wtył ręce. Za nimi postępowało trzech mężczyzn w mundurach żandarmerii niemieckiej z automatami w rękach.

— Matko Boska, Matko Boska! — staruszka zerwała się z kamieni i z chyżością dziwną w jej wieku pośpieszyła ku krowie, pasącej się obok krzaków przy figurze.

— Cichoj Jędruś, cichoj — szeptała do rozbudzonego i płaczącego malca. Furmanka turkotała już blisko. Kobieta rzuciła na nią okiem. Jest chudy.... i volksdeutsch i jakiś nowy, a zeby ich pokręciło!

Skuliła się pod krzewami wierzbowych zarośli i poczęła „Pod Twoją obronę", myląc się z wrażenia. Piesza grupa minęła już figurę i zrównała się z wozem. Do uszu staruszki dobiegło kilka donośnych niemieckich zdań. Nagle gruchnęły strzały.

— O Jezu! — Baba przypadła ze strachu do ziemi i zasłoniła sobą wnuczka. O kilkadziesiąt kroków od krzaków stała furmanka. Konie wstrzymywał niemniej od nich przerażony furman. Trzech niemców siedziało sztywno, trzymając ręce do góry. Obok z automatami, gotowymi do strzału stali niedawni „żandarmi" i jeden z „więźniów". Drugi porwał lejce z rąk furmana i popędzając konie, skręcił na drogę polną, ledwie widoczną wśród mgły. Nagle rozległ się w dali warkot motoru. Niemcy! Szare postacie partyzantów zastygły na ułamek sekundy w bezruchu. Padł cichy rozkaz. Furman zeskoczył z wozu. Huk strzałów, cichy, zduszony krzyk. Ciemne postacie ze sterczącymi w górę ramionami zlały się z niewyraźnym konturem furmanki w jedną szarą masę. Przerażone konie skręciły na miejscu w pole. Wóz podskoczył gwałtownie i z trzaskiem zwalił się na bok. Postacie partyzantów roztapiały się szybko we mgle. Warkot motoru był tuż. Z mgły wychyliła się ciężarówka pełna żołnierzy niemieckich. Na platformie wszczął się ruch. Stanęła. Kilku żołnierzy podbiegło do leżącego wozu. Znieruchomieli nagle i zawrócili do auta. Dobiegali do szosy, gdy padła seria z automatu. Jeden z nich upadł ciężko, podniósł się na kolana i z jękiem przewrócił znowu. Gruchnęła druga seria i trzecia. W ciężarówce wszczęło się zamieszanie. Niemcy zeskoczyli bezładnie i przypadli w rowie po drugiej stronie szosy. Zastukały w mgłę automaty i karabiny. Lecz nie odpowiadał im już nikt. Niemieckie kule siekały jeszcze chwilę kartoflisko, przydrożne zarośla wierzbiny i umilkły. Żołnierze wyskoczyli z ukrycia i nie kwapiąc się po leżących przy wozie kolegów, wskoczyli szybko na ciężarówkę. Auto warcząc ruszyło z miejsca. Przy przewróconym wozie szamotały się rozpaczliwie poplątane w uprzęży, oszalałe z przestrachu konie. Gałązkami rosochatych wierzb poruszył wiatr. Rozgonił kłęby mgły i zaszumiał cicho wśród krzewów przydrożnych. Pod jednym z nich leżał trup starej kobiety. Leżała na boku, skulona tak jak położyła się na ziemi, osłaniając sobą dziecko. Obok, płacząc głośno, usiłował wydostać się z więzów utrapionej chustki mały Jędruś. Oswobodził się wreszcie i przestał szlochać. Wzrok jego padł na babkę. Oczki wyrażały prośbę i zniecierpliwienie, a usteczka krzywiły się do płaczu. Pociągnął ją za rękę i patrzył pytająco, mówiąc coś w swym półtorarocznym języku. Czekał chwilę. Zniżył jasną główkę, by wybuchnąć ponownym łkaniem, gdy nagle spostrzegł na źdźble trawy małą biedronkę. Kropkowany owad szedł spokojnie po trawce, kierując się ku wyciągniętej rączce dziecka. Wpełznął na nią bez wahania i posuwał się po tłustym paluszku coraz dalej. Jędruś w mgnieniu oka zapomniał o babce, z otwartą buzią i okrągłymi z ciekawości i zajęcia oczkami śledził bożą krówkę. Biedronka zatrzymała się i po chwili beztrosko powędrowała znowu.

Wiatr rozwiał resztki mgły. Błysnęło słońce. Gdzieś od wsi słychać było zbliżające się, roześmiane głosy dzieci i nawoływania na krowy.

Barbara Lipczyńska

Tulipany

Rysunek powyżej przedstawia budkę bardzo dużych rozmiarów w kształcie tulipana, w której członkinie Ligi Kobiet sprzedają spragnionym różne napoje chłodzące. Od pewnego czasu takie budki Uzdrojowiskowe Przedsiębiorstwo Państwowe rozstawia na rogach ulic Warszawy i innych miast naszego kraju.

Nie mając nic przeciwko instytucji Ligi Kobiet i Państwowym Uzdrojowiskom trzeba zauważyć, że budki-tulipany odznaczają się wyjątkową, luksusową brzydotą. Ich styl coś między secesją „Berlin 1912" a modernizmem „Warszawa 1922" i jeszcze coś z okaleczałej pagody, jest dzisiaj zupełnie nie do zniesienia i musi oszpecić nawet najpiękniejsze miasto. Na biało pomalowana budka-tulipan byłaby ostatecznie możliwa w miejscowości ściśle kuracyjnej i to raczej nie w polskim klimacie i krajobrazie, a gdzieś na Południu.

Na temat budek - tulipanów rozmawiałem z szeregiem ludzi sztuki, którzy wszyscy podzielali moje zdanie, ale niestety nikt nie umiał mi powiedzieć, skąd zrodził się tak ponury pomysł, w epoce, w której dużo słyszymy o estetyce produkcji i są od tego specjalne urzędy.

Dlatego jestem zmuszony skorzystać z łamów „Dziś i Jutra" i postawić publicznie następujące pytania.

1) Komu się budki-tulipany podobają?

2) Kto jest autorem projektu?

3) Jakie władze (i kto) projekt akceptowały?

4) Dlaczego (i kto) magistrat miasta Warszawy zgodził się na masowe ustawianie budek-tulipanów na swoim terenie?

5) Ponieważ prawie codzień, jak grzyb po deszczu, wyrasta nowa budka-tulipan, zapytuję, czy produkcja budek ma osiągnąć jakąś określoną cyfrę, czy też włączona w nurt wyścigu pracy rozwijać się ma wspaniale, aby dojść do takiego stanu, gdy na każdym rogu, każdego miasta będzie kwitła radośnie budka-tulipan.

6) Ponieważ na całym świecie wodę sodową sprzedaje się w normalnych sklepikach, zapytuję, czy pomysł budek tulipanów zrodził się z przesłanek ekonomiczno - społecznych, czy też estetycznych w celu szczególnego uprzyjemnienia życia w naszych miastach?

7) Ile milionów złotych kosztowała dotychczas produkcja budek-tulipanów i ile milionów złotych przewiduje się (i kto) na ten cel w przyszłości?

Łaskawe odpowiedzi proszę uprzejmie kierować do redakcji „Dziś i Jutro" na nazwisko:

Dominik Horodyński

Karol W. Zawodziński

BOROWY O POETACH XVIII W.

W przyjęciu książki Borowego niepodobna nie zauważyć pewnych objektywnych znamion jej niezwykłości.

Księga tych rozmiarów, że nawet jako powieść wymagałaby pewnego czasu na lekturę, a tem bardziej na sformułowanie przez najbardziej pilnego krytyka jej oceny w druku, w ciągu pierwszych trzech miesięcy od zjawienia się na półkach księgarskich doczekała się obszernych recenzji w szeregu najważniejszych pism literackich w kraju i zagranicą. Niezależnie od stanowiska, zajętego przez recenzentów-naukowców z reguły przeciążonych pracą, zawalonych lekturą, sam ich pośpiech jest jakby jednomyślnym wynikiem głosowania, stwierdzającego znaczenie książki jako ewenementu w życiu naukowem, literackiem, może nawet szerzej — kulturalnem.

Meritum sądów ukazuje też uderzającą zgodność. Nawet jedyny artykuł, naruszający pozornie tę harmonję, da się poza wyraźnemi potknięciami się autora w zapale polemicznym oraz „biorąc poprawki" (jak się mówi w nawigacji) na stanowisko ideowe — sprowadzić do zasadniczej zgodności sądu z resztą recezentów. Taką samą zgodność obserwowałem w dyskusji, poświęconej książce, w pewnem zamkniętem gronie naukowem, w wypowiedziach trzech referentów, bardzo dalekich pozatem od siebie co do najważniejszych podstaw swego podejścia do literatury. Wszyscy przytwierdzali pięknej recenzji Marji Rzeuskiej („Odrodzenie" nr 20 r. b.), która podobno zajmuje identyczne stanowisko w tym wypadku jak W. Weintraub, piszący na drugim krańcu naszej części świata, oczywiście bez wszelkiego porozumienia z recenzentką „Odrodzenia". Ta uderzająca zgodność oceny nie jest przypadkowa, lecz wynika z właściwości samego jej przedmiotu.

Nikt czytający po polsku, a nie zupełnie głuchy na piękno słowa, nie może pozostać obojętny na uroki stylu Borowego. Jego proza nigdzie nie wpadając w liryzmy, któremi lubił szafować „krytyk-poeta" z przed lat czterdziestu, nie uchybia nigdy doskonałym formom towarzyskim „prozy naukowej". Bogactwo myśli znajduje odpowiednik w szerokim okresie; ale okres ten nigdy nie bywa zaplątany i zewnętrznie przedstawia się jako szereg odrębnych krótkich zdań, które, jak oddziały, zgodnie z ideałem wielkich wodzów, „maszerują osobno, tylko uderzają razem". Obok doskonałego doboru synonimów, najściślej przylegających do zamierzonego odcienia pojęciowego, łącznie z osiągnięciem najwyższej prostoty wyrazu (przynajmniej pozornie, w istocie nie jest tak prosty), decyduje to o jasności wykładu takiej, że obok powszechnego uznania dla piękna formy, rozumienie tez Borowego jest zawsze jednoznaczne i uwydatniają się one w całej czystości linji. Nie może być więc mowy o ich subjektywnej interpretacji, o ich fałszywem rozumieniu (poza wypadkami zupełnego choćby na chwilę zaślepienia fanatyzmem ideologicznym lub wyraźnych potknięć recepcji). To co jest istotne w jego tezach, staje wyraźnie przed bezstronnym czytelnikiem, wywołując zgodną reakcję, jeśli swą paradoksalnością wyzywa to, co nazwać można „sens commun" (używając francuskiego wyrażenia dla dogodnego w tym wypadku jego pierwotnego znaczenia!), „powszechne poczucie" każdego interesującego się dziejami literatury.

Taką też uderzającą zgodność okazały sprzeciwy recenzentów na kilku punktach, dotycząc czasem nie tego, co jest w książce, lecz tego raczej, czego w niej niema. Pozornie grzeszy to przeciw pierwszym zasadom lojalnej krytyki — a jednak w tym wypadku nie jest zupełnie bezpodstawne i choćbyśmy takiego postępowania nie zdołali usprawiedliwić, bez trudu nam przyjdzie jego umotywowanie psychologiczne. Tak np. w intencji autora, może nie zupełnie tu ujawnionej, ale skądinąd wiadomej, książka jest szeregiem portretów literackich. W tej postaci ma oczywiście prawo do istnienia; sprawa jednak komplikuje się tem, że to co autor dał, to nie jest luźny szereg portretów literackich, choćby z zakresu jednej jakiejś epoki. Luźność ta warowałaby prawo autonomiczności każdego portretu. Tu jednak są omówieni mniej więcej wszyscy literaci, których znają popularne kompendja Chmielowskiego, Wojciechowskiego i innych; nie są pominięte nawet utwory prozaiczne, o ile zawierają ustępy godne uwagi ze względu na swe wartości artystyczne; zresztą, jak widać ze wstępu, autorowi chodziło o całą literaturę XVIII w. w tym zakresie, w jakim bądź ze względu na istotne swoje wartości, bądź ze względu na intencję twórców, zasługiwała na nazwę „literatury pięknej", poezji. Zgodnie więc z tytułem jest to dzieło „o poezji polskiej w wieku XVIII", w całej pełni zawartości tego pojęcia. Lecz technika wyodrębnionych portretów literackich, a w równym stopniu — zasadnicze, jak to wiemy z dawniejszych prac autora, a również z wielu fragmentarycznych deklaracji wstępu, unikanie uogólnień w formie uwydatniania, a nawet wzmiankowania prądów, zbiorowych tendencyj, szkół i t. p., pozbawia książkę, koniecznych dla zarysu dziejów literatury jakiejś epoki, linji generalnych. Obraz ten nie łączy węzłami współzależności, czy to w samej twórczości, czy w życiu literackiem, pojedyńczych pisarzy; z widoczną starannością autor unika uciekania się do takich utartych, że aż wytartych terminów historyczno-literackich jak barok, rokoko, sentymentalizm itp. Uwalnia to książkę Borowego od bardzo przykrego ciężaru werbalizmu, który przy dotykaniu do tych spraw, zarówno przez krytykę, jak i przez uczoną historię literatury, szerzy się specjalnie w ostatniem ćwierćwieczu. Uniknąć jednak tych uogólnień nie sposób; to też i Borowy ucieka się do nich zrzadka, tam zwłaszcza, gdy wbrew swym upodobaniom, musi pisać o zbiorowych, często bezimiennych lub quasi-bezimiennych zjawiskach literatury takich jak poezja barska albo rzesze drobnych, ciemnych, dziś już zapomnianych z nazwiska pisarzy z czasów saskich. Używa wówczas tych uogólnień z wielką trafnością, np. gdy pieśni konfederackie przedstawia w konkluzji jako „ostatnie przejawy i pożegnanie" kultury własnej, „sarmackiej", jak to bym chętnie nazwał, przeciwstawionej kulturze ogólnoeuropejskiej. Ustępy takie są jednak zbyt rzadkie i zbyt mało rozwinięte; nie zmieniają istotnych właściwości dzieła, jako galerji portretów literackich. Galerja portretów literackich, to jest to, co mamy w książce i co, jako takie jest świetne, ale nie zaspakaja zainteresowań czytelnika, rozbudzonych w kierunku całości literatury pięknej XVIII w. tytułem, niektóremi ustępami przedmowy oraz przejrzeniem spisu treści: skomponowanego obrazu całości czytelnik nie otrzymuje i o to wysuwa pierwszą, uzasadnioną subjektywnie, choć nieuzasadnioną z punktu widzenia planu autora, pretensję. Metoda autonomicznego portretowania pisarzy posiada jeszcze jedną ujemną stronę: porównanie jest najdzielniejszym środkiem opisu, którego dobrowolnie pozbawia się Borowy przy montowaniu postaci swojej galerji. Brak porównania (które chyba tylko wyjątkowo się zdarza) nie tylko utrudnia plastyczny, a łatwy sposób potretowania, ale szkodzi również czynności sprawiedliwego wartościowania poetów.

To ostatnie jest jednym jeszcze i to może największym szkopułem dla bezwzględnej admiracji książki. Wszyscy recenzenci zgodnie podają w wątpliwość kryterium wartościowania wybrane przez Borowego, a nawet samą możliwość znalezienia takiego jedynego a pewnego kryterium „prawdziwej poezji". Zwłaszcza w najważniejszym dla poznania metody oceny artystycznej portrecie książki, a mianowicie w studium o Krasickim, ukazuje się zawodność obranego kamienia probierczego dla stwierdzenia zawartości „prawdziwej poezji" czy choćby „jej pasemka" w dziele literackiem. „Uczucie i wyobraźnia", przyjęte jako podstawy obowiązującego pojęcia prawdziwej poezji, są niewątpliwie tradycyjne, sięgają starożytności, są więc o wiele starsze od zeszłowiecznego romantyzmu, który je spopularyzował: w konsekwencji jednak, w dostatecznem rozwinięciu, doprowadzają do romantycznego pojęcia wartości poetyckich i wyobrażeń o poezji, które okazują się zbyt wąskie dla wartościowania poetów epok z gruntu antyromantycznych. takich, jakim był wiek XVIII. I właśnie na Krasickim sprawdza się najlepiej niestosowność przyjętego kryterium: od zupełnego wyzucia wielkiego satyryka i bajkopisarza z tytułu poety ratują go dość rzadkie i wątłe dowody, że wyobraźnia i uczucie nie były obce jego naturze. Dowody te mogą charakteryzować go jako człowieka, niekiedy uratować z przepaści zapomnienia te mało decydujące dla sławy X. B. W. utwory, które Borowy ponad powszechny zwyczaj krytyków obszerniej analizuje. Ale jak określić zalety tych utworów, na których wspiera się sława Krasickiego i o których z całą pewnością stwierdzić można, że wywołują one powszechny zachwyt (jak niemniej samego Borowego, wyrażony bez obsłonek przy nadarzającej się okazji)? Ten zachwyt dla elegancji, którą, przy nieprześcignionej zwięzłości i prostocie, ujawnia ekspresja Krasickiego jest to chyba zachwyt estetyczny, gdyż bezinteresowny, nie związany ani z żadną korzyścią osobistą czy gromadną, ani z aprobatą myśli w ramach pewnego systematu etycznego. Cóż zaś innego jest, najwłaściwiej biorąc, poezja jak nie sztuka słowa, sama sobą budząca nasz bezinteresowny zachwyt?

Wiem zresztą, że i tę definicję można zaczepić, że nie wytrzymałaby ona krytyki przy jej rozleglejszem zastosowaniu i w jej dalszych konsekwencjach. W każdym razie jest ona stosowniejsza do operowania w zakresie poezji XVIII w. niż ta którą obrał Borowy, a która jest przyczyną wyczuwanej przez czytelnika sprzeczności: bo oto sądy Borowego, aczkolwiek w wielu miejscach rewizyjne w stosunku do tradycyjnej oceny, nigdzie jednak nie naruszają tradycyjnych proporcyj hierarchji. Krasicki pozostaje Krasickim i posiada wybitnie najdłuższy rozdział. Kniaźnin, przecież tak pięknie, w swym ujmującym wdzięku, ukazany już dawniej przez Borowego, jak nigdy przez nikogo przedtem, nie jest tu w jakiś widoczny sposób wywyższony ponad zestawianego z nim od półtora wieku tradycyjnie innego „poetę serca", Karpińskiego: specjalnie w tym punkcie autonomiczność charakterystyk związała ręce Borowemu. Nawet Naruszewicz jest omówiony z należytą atencją, na odpowiednio znacznej ilości stronic mu poświęconych; a rewizjonistyczne tendencje w stosunku do jego dożywotniej sławy, od początku ub. stulecia bardzo wyraźne, doznały tu osłabienia a wartości jego ody religijnej są wybronione doskonale przeciw zarzutom Brodzińskiego, otwierając perspektywy bardzo niepewne zresztą jeszcze, na renesans w naszem poczuciu „pysznogrzmiącej" ody XVIII w., która rewaloryzowała się całkowicie w ostatnich dziesięcioleciach na gruncie rosyjskim; coprawda tam chodziło o wielkich istotnie poetów, Łomonosowa i Dzierżawina, a ten ostatni nigdy w gruncie rzeczy nie znikał całkowicie z uznanych wyżyn parnasu rosyjskiego. Jeśli nie brać zbyt dosłownie wyniesienia Benisławskiej i kilku jeszcze wyrażonych tu i ówdzie wątpliwości krytycznych lub przypuszczeń, hierarchja pozostaje, mimo zmiany kryterium oceny, naogół nienaruszona i można podziwiać znakomitego pisarza z jakim mistrzostwem umie on ukryć przed czytelnikiem tę trudną ekwilibrystykę rozumowania, pozwalającego na potwierdzenie tradycji w pomiarach nowem narzędziem.

Ale mimo wszystko kryterja są odsłonięte, ich zastosowanie daje pewne cząstkowe rezultaty: wzbudza to dość powszechną i zupełnie zgodną co do treści reakcję. Niezupełnie tak samo co do formy, oraz interpretacji stanowiska Borowego, jego właściwych w każdym wypadku pobudek i zasięgu jego wniosków. Dla mnie n. p. jasne jest (może dlatego że o jego poglądach sądzę nie tylko na podstawie ostatniej książki!), że uznanie niektórych wierszy Benisławskiej za „najwznioślejsze wiersze, jakie w wieku XVIII po polsku napisano", nie jest równoznaczne z twierdzeniem, że wznioślejszych wierszy wogóle po polsku nie pisano: podczas gdy napewno nie zaprzeczy Borowy, że Bajki Krasickiego są w swoim rodzaju nieprześcignione (nie tylko w ramach literatury polskiej), że więc posiadają (niezależnie od tego czy są lub nie są „prawdziwą poezją") tę cechę, która gwarantuje nieśmiertelność dziełu literackiemu, pozwalają na ocenę bezwzględną, bez obawy przesłonięcia czemś lepszem w tym samym rodzaju: (tu miałbym okazję do ujęcia się za „Nad głębiami" Asnyka, wbrew zgodzie Rzeuskiej na sąd negatywny Borowego o tym cyklu, muszę jednak zaniechać okazji ze względu na brak miejsca i czasu). Poza tem, wbrew Rzeuskiej wcale nie uważam za mylną czy bezwartościową rewalorycację Benisławskiej, dla tej niby przyczyny, że jest to poetka zapóźnionego w kontekście swej epoki stylu. Przede wszystkim, gdyby Borowy był takim „formalistą", za jakiego go niektórzy podają, nie omieszkałby ukazać z całą plastyką to, o czem tylko napomyka, a mianowicie w jakim stopniu technika tych „niewspółczesnych" w XVIII w. wierszy korzysta ze zdobyczy sztuki poetyckiej wieku, w którym powstają. A następnie bardzo błędną w historji literatury byłaby zasada lekceważenia zapóźnionych poetów, bez względu na poziom ich dzieła; żeby długo nie szukać argumentów, wspomnijmy tylko Norwida, romantyka, najwspanialsze swe utwory piszącego w epoce panowania innej techniki (potępiającej wszelką komplikację artystyczną) i innej tematyki. Wogóle trzeba stwierdzić bezstronnie, że rewizja Borowego w tej mierze, w jakiej wciąga w pole widzenia historyczno - literackiego poetów, którzy z tego pola wypadli lub nigdy się w niem nie znajdowali, należy do najbardziej bezspornych, pozytywnych rezultatów jego pracy. Nawet odmienne od tradycyjnego oświetlenie ks. Baki należy powitać jako zapoczątkowanie (bardzo jeszcze niedostateczne), po pierwsze odkrywczej działalności na polu literatury drugoplanowej, tak zaniedbanej naogół w Polsce, po wtóre, specjalnie jako zbliżenie się z narzędziami oceny estetycznej do olbrzymiej, od czasów stanisławowskich przeważnie wzgardzonej, połaci naszego dawnego piśmiennictwa: literatury dewocyjno-religijnej, w której (czy będziemy się cieszyć z tegoż czy martwić, jak ja osobiście — to obojętne dla sprawy) wyżywała się artystycznie przeważająca część inklinacji poetyckich narodu naszego w ciągu dwóch wieków blisko: od tego „schorzenia" — jeśli kto chce — nie były wolne wielkie dusze (W. Potocki), bujne talenty poetyckie (W. Kochowski), nawet światłe umysły stojące na poziomie wieku oświecenia (król Stanisław Leszczyński). Przypatrzeć się uważniej rezultatom tej olbrzymiej aktywności poetyckiej (nie tylko w książki się wcielającej, często w materiał trwalszy od drukowanego słowa, w kamień nadgrobowy), wyselekcjonować z tego, co zasługuje na wyższą ocenę estetyczną — jest obowiązkiem przyszłej historji literatury polskiej, której brakuje takich książek, często szerszych od jej zakresu, należących do historji kultury, jak „Port — Royal" Sainte — Beuve'a lub olbrzymie dzieje ducha religijnego we Francji ks. Bremonda; dzieła te nie są wzgardzone w ojczyźnie Voltair'a i libertynizmu religijnego.

To co się tyczy oceny osiągnięć akcji rewizyjnej Borowego. W sprawie jej motywów trzeba wprowadzić pewną poprawkę do recenzji Stefana Żółkiewskiego, której protest przeciw samej istocie kryterjów Borowego i ostatecznym rezultatom jego pomniejszającej czołowych pisarzy XVIII w. rewizji (pod warunkiem wzięcia pod uwagę istotnie **dokonanych** pomniejszeń), jest punktem zgodnym ze stanowiskiem innych recenzentów. Świetny publicysta i znakomity teoretyk metodologji literatury popadł w błąd oczywisty stosując nietrafnie metodę socjologiczną i chwyty publicystyczne w wypadku, kiedy były one nie na miejscu. Wyniesienie wierszy Benisławskiej, jako prawdziwie poetycznych, ponad rdzenne arcydzieła sztuki pisarskiej XVIII w., jest u Borowego konsekwencją obranych kryterjów (w istocie jak już wskazywaliśmy romantycznych), a jest zupełnie niezależne od jego podstawy konfesyjnej czy politycznej. Poezja religijna korzystała zawsze z pewnych preferencyj w momentach takiego odczuwania świata, gdy religja wraz z filozofją zlewały się z poezją w jedną słabo rozgraniczoną, dziedzinę aktywności ducha ludzkiego; nie trzeba informować uczonego literaturoznawcę że są to momenty

na wskroś romantyczne. Nie należy jednak przypuszczać, że ci np. za Młodej Polski adoratorzy („na nieczytanego" przeważnie) Ruysbroecka Przedziwnego lub innych mistyków katolickich sami byli przykładnymi katolikami lub przynajmniej wierzącymi chrześcijanami; inna rzecz, że natury całkowicie uczuciowe, nie umiejące odróżniać swych upodobań od stwierdzonych rozumowo prawd, bardzo często od literackiego zamiłowania w poezji mistyków przechodziły do całkowitej akceptacji ich światopoglądu. Stąd tak liczne konwersje katolickie zarówno w epoce romantycznej tak i bliżej nas w epoce neoromantycznej. Nie było to jednak powszechne i np. moje zachwyty dla poezji bł. Jacopone da Todi (o którym klasyczne studium mieści się w książce o poetach franciszkańskich Ozanama, znakomitego pisarza francuskiego doby romantycznej, dziś bodaj beatyfikowanego a może nawet kanonizowanego przez Kościół) nie pociągnęły za sobą dalszej metamorfozy światopoglądowej.

Podobnie ogólniejszym błędem rozumowania jest w recenzji Żółkiewskiego zarzut, że Borowy nie podniósł dostatecznie, a nawet wcale, zbawiennej roli literatury stanisławowskiej pod względem politycznym, społecznym i ogólno - kulturalnym. Ależ właśnie samą treścią przedsięwzięcia, punktem wyjścia Borowego było pragnienie wyodrębnienia wartości artystycznych (czy poetyckich jak to on określa następnie niezbyt jak widzieliśmy szczęśliwie tu zastosowanym terminem) literatury XVIII w, niezależnie od jej niczem nie dających się obalić zasług patriotyczno - obywatelskich, z którego to punktu widzenia literatura ta, jak Borowy stwierdza z całym naciskiem we wstępie, była wielokrotnie oceniana i to przez ludzi, których nazwiska należą do najbardziej szanowanych i osobiście drogich Borowemu, jak np. jego nauczyciel Ignacy Chrzanowski. Żądać więc od niego badań nad funkcją narodowo - kulturalną literatury jest to żądać aby postępował wbrew swoim założeniom. Byłoby to równie niesłuszne, jak żądanie od autora podręcznika chemji, aby się zajmował rolą związków chemicznych w fizjologji człowieka. Jeśli Borowy pomija przy ocenie twórczości Węgierskiego i Jasińskiego dodatnie strony oddziaływania postępowej myśli wieku XVIII na rozszerzenie horyzontów myślowych ówczesnego Polaka, to również podnoszenie wartości poetyckich u Benisławskiej czy u ks. Baki (mylne być może, z powodów które powyżej zostały wyłożone) nie jest połączone z cieniem nawet obrony kultury sarmackiej ani z wynoszeniem dobroczynnych skutków społecznych czy obyczajowych światopoglądu katolicko - dewocyjnego.

Błędem informacji raczej niż rozumowania jest zarzut że Borowy starał się poniżyć twórczość poetycką Jakóba Jasińskiego. Poetą ten mało znany, bo prawie nic nie publikujący za życia, byłby całkiem zapomniany, żeby nie wiersz z Pana Tadeusza „Dalej Jasiński, młodzian piękny i posępny", a popularne jego piosenki krążyły by dalej, jak krążyły przez cały wiek XIX, bezimiennie. Nie wspominany jest prawie w kompendjach dziejów naszej literatury: Chmielowski poświęca mu półtora wiersza cytując jedną strofkę do charakterystyki tendencji preromantycznych; Chrzanowski w swym przeglądzie poezji stanisławowskiej w Encyklopedii Polskiej PAU wspomina jego nazwisko dwukrotnie, wyliczając sumarycznie utwory poszczególnych rodzajów poetyckich, przy pieśni patriotycznej raz i powtóre przy utworach, sztuce poetyckiej poświęconych. Borowemu więc należy się zasługa pierwszego wcale obszernego studium (na 8-miu stronicach) poświęconego temu poecie. Barwna ta charakterystyka jest żywo ilustrowana cytatami, które pozwalają niezależnie od poglądów samego autora charakterystyki wyrobić sobie wysokie wyobrażenie o zdolnościach poetyckich młodo poległego żołnierza. Obszernie, na półtorej stronicy, jest zanalizowany wiersz „Dnia 16 Oktobra 1787", zacytowane tu strofy nie ustępują bynajmniej w moim odczuciu swym patosem wewnętrznym w poruszaniu „wiecznych zagadnień" wierszom Benisławskiej, choć Jasiński stoi na stanowisku skrajnie antyreligijnym. W tym więc miejscu zarzut Żółkiewskiego może być tylko okazją ukazania bezstronności*) Borowego jako badacza tak też i uwidocznieniem wyraźnej zasługi jego dla wysławienia postaci, której Żółkiewski (prawdopodobnie właśnie na podstawie lektury książki Borowego, z niej wyłącznie czerpiąc o niej informacje,) stał się gorącym czcicielem.

O braku informacji świadczy również, w niezbyt szczęśliwym momencie dla rozumienia tekstu powzięte podejrzenie, iż porównanie u Borowego pod względem sensacyjności, wystąpienia Krasickiego przeciw zakonom, jako wystąpienia dostojnika Kościoła przeciw nadużyciom instytucji kościelnej, z ewentualną satyrą któregoś biskupa w 1938 r. przeciw pielgrzymkom młodzieży akademickiej do Częstochowy, godzi w Krasickiego; wyciąga stąd wniosek w patetycznym zwrocie do Borowego, że tego ostatniego gorszy taka ewentualność. Uniesionemu szlachetnym uczuciem krytykowi muszę tu przypomnieć sprawy dość szeroko znane przed wojną, nie tylko uczestnikom życia akademickiego na wszystkich stopniach, ale i każdemu uważniejszemu czytelnikowi prasy literackiej. Sprawy te rzucą właściwe światło na inkryminowany ustęp książki i wskażą po czyjej stronie stoi sympatja Borowego w tem zwięzłem omówieniu wystąpienia Krasickiego. Otóż powszechnie wiadomo z obszernych enuncjacji w druku znakomitego literaturoznawcy, że należy on do najgorętszych, zapalonych aż do fanatyzmu i egzaltacji, przeciwników wszelkiej dyskryminacji rasowej, a z właściwą mu odwagą rycerską, której dowody złożył już dawno jako żołnierz na froncie, także i czynnie umiał wystąpić przeciw dyskryminacji którą próbowano wprowadzić także do biblioteki uniwersyteckiej warszawskiej, gdzie zajmował wówczas stanowisko kierownicze. Nie biorąc przykładu z tchórzliwego zachowania się wielu ówczesnych profesorów, sam jeden stawił czoło dziesiątkom, z takim skutkiem i energją, że odtąd próby te na terenie biblioteki ponawiane nie były.

Warto też by podać do wiadomości publicznej to, co przy właściwej Borowemu skromności i konsekwentnej odrazie do wysuwania w druku szczegółów autobiograficznych, nazawsze pewnie pozostałoby tajemnicą, choć znane jest garstce inteligencji zamieszkałej w Zalesiu pod Piasecznem w czasie okupacji niemieckiej. Mianowicie przez całe długie cztery lata 1941 — 1944 w jego ustronnie położonej willi znajdowały przytułek dwie rodziny pochodzeniem skazane na pobyt w ghetcie i na jego los. Ci ludzie ocaleni i żyjący do dziś dnia mogą dać w razie potrzeby świadectwo stanowisku Borowego w sprawie rasizmu.

Poza temi omyłkami i wynikającem z nich mylnem oświetleniem książki Borowego, jako książki tendencyjnej i publicystycznej, piękna recenzja Żółkiewskiego, podbija trafnością wielu ogólniejszych myśli a także entuzjazmem dla literatury stanisławowskiej, który pozwala wspaniale rokować o rezultatach pracy badawczej i edytorskiej w tym zakresie, którą niewątpliwie młody uczony, z właściwą mu energją, niebawem rozpocznie. Oby jak najprędzej! Pole działania jest szerokie, a dużo jeszcze z tej epoki godnego uwagi pozostaje do ukazania, czego cząstkową próbkę daje Borowy w swoim portrecie literackim Jasińskiego. Szeregiem uwag a także, obok przyznania książce Borowego expressis verbis wyjątkowego znaczenia, jako najbardziej wyróżniającego się dzieła naszej powojennej polonistyki, „świetnie napisanego", samym pośpiechem w opublikowaniu tak obszernej recenzji, Żółkiewski przyłącza się w gruncie rzeczy do zgodnego chóru krytyków tej książki.

Przez właściwą mi przekorę chciałbym wyłamać się z tej zgodności choćby wskazaniem kilku jeszcze jej błędów wynikających z niektórych mniej trafnych założeń metodologicznych Borowego. Tak np. teoretycznie słuszne ujmowanie dzieła literackiego przy jego ocenie w całej pełni jego właściwości kompozycyjnych, prowadzi w praktyce do takich czasem błędów, jak stawianie na jednym poziomie „Powrotu posła" Niemcewicza z komediami Bohomolca, a to ze względu na podobieństwo schematu intrygi komediowej. Przyznaje wprawdzie Borowy, „że schemat ten wyzyskany tu (u Niemcewicza) został, pełniej dowcipniej i z większym nieco zmysłem rzeczywistości", niemniej identyczność schematu bierze się pod uwagę w ocenie. Ależ właśnie, te różnice wykonania ich przewaga na rzecz Niemcewicza, to są sprawy istotne, gdy chodzi o komedję XVIII w. lub zbliżoną do niej stylowo. Szablon intrygi jest czemś w niej mechanicznie stosowanem, prawie obojętnem dla rezultatów, czemś wspólnem dla wszystkich okazów tego rodzaju literackiego, jak papier pióro użyte przy ich pisaniu. Ten sam schemat służył rzemieślnikom i wielkim twórcom: żadne wysiłki komentatorów nie przeniosą wartości artystycznych komedji Gribojedowa nad jej kompozycję, tak jak żadne wysiłki zoilów nie zmniejszą jej wartości artystycznych, na czem innem polegających. Analogiczny błąd popełnia Borowy przy ocenie „Sarmatyzmu": cóż stąd, że jest to przekład komedji francuskiej, należącej do najlichszej, najprymitywniejszej odmiany swego gatunku: właśnie to, czem się różni przekład od wzoru świadczy o genjuszu polskiego poety. Wysuwana już ogólniej, jako zarzut książce Borowego, autonomiczność jej charakterystyk, skąd brak skali porównawczej, odbija się na Zabłockim jeszcze i w innych częściach jego charakterystyki. Ale o tem długo by pisać. Już to samo że książka uczonego, że wydawnictwo Akademii zmusza do tak nagłych, obszernych i pełnych pasji wylewów swych myśli i uczuć każdego, komu nie jest obojętna przeszłość literatury ojczystej, świadczy o wyjątkowych właściwościach i zaletach dzieła, które jest nie tylko pracą uczonego, ale również i w większym jeszcze stopniu, choć troskliwie stara się to zataić — dziełem artysty.

K. W. Zawodziński.

*) Jej ilustracją jest wyniesienie, w słowach wiele gorętszych, niż zastosowane do Benisławskiej, patetycznych ustępów, malujących nędzę i ucisk chłopów, z pism prozaicznych Staszyca od czego, w książce poświęconej poezji, byłby ostatecznie Borowy zwolniony. Nie przemawia tu chyba u niego stronniczość na rzecz księdza, skoro i w jego utworach poetyckich, jako jedyne ustępy wartościowe, podnosi namiętnie antyreligijne ataki na Kościół.

POEZJA ŚLĄSKA

JANINA ZABIERZEWSKA
WIERSZE. ARKUSZ ŚLĄSKI 9.

Wyd. Z. Z. L. P. Oddz. Śląski (Katowice, 1948). S. 14,2 nlb.

Poszczególne tomiki Arkusza Śląskiego stanowić mają w zamierzeniach wydawców antologię współczesnej poezji śląskiej, a jednocześnie, ponieważ 100 egzemplarzy z każdego tomiku bywa rozsyłanych do szkół śląskich jako dar Oddz. Śląskiego Z. Z. L. P., mają one zbliżać młodzież polską do współczesnej poezji w ogóle poprzez najbliższą tej młodzieży, śląską tematykę.

Przyznać trzeba, że zadania te godnie wypełnia tomik wierszy Janiny Zabierzewskiej. Autorka ich jest znana na Śląsku od 1923 r. działaczka i pracowniczka oświatowa, która w literaturze poznać się dała wydanymi przed wojną dwoma zbiorami wierszy: „Przez śląskie okna" (1937) i „Myśli na zwiady" (1939 r.). Wiersze zamieszczone w Arkuszu są wyborem z trzeciego, dotychczas niewydanego zbioru, o tematyce patriotycznej i śląskiej.

Autorka włada swobodnie zarówno formą wiersza nieregularnego jak i pospolitego, sylabo-tonicznego. Jej wiersze „śląskie" są czasem perełkami prawdziwego natchnienia i gorącego uczucia i — co warto podkreślić — niezmiernie rzadko posługują się one jakimikolwiek szablonami „wierszy regionalnych". Tak jest z najpiękniejszymi w tej serii: „W klamrach zielonych", „Południe w choinie", a także z kilku innymi. Panuje tu przeważnie własne i często oryginalne ujęcie krajobrazu śląskiego (głównie wałbrzyskiego) i sugestywnie wyrażone nastrojem poczucie bliskości i polskości tej ziemi. Jak wiadomo nie jest to sprawa ani prosta, ani łatwa, o czym przekonywały nas niejednokrotnie przeintelektualizowane konstrukcje poetyckie innych poetów dolnośląskich.

Gorzej sprawa przedstawia się z wierszami patriotycznymi, których tematykę określić możnaby jako „pookupacyjną". Sam temat stwarza tu zresztą olbrzymie trudności. Trzeba mieć nielada talent, by w tej dziedzinie napisać coś wartościowego. Oczywiście autorka też nie poszła po linii najmniejszego oporu. Świadomy wysiłek obrony przed banalnością spotykamy w takim np. początku wiersza „Oczekiwana":

Cięższe są milczenia — słowa
zrodzone w pamięci, którą
przytłaczał czas,
czas — pięć i półletni gruz,
gdy nam krzyczano, wbijano
w mózg
kaźnią i knutem,
„nie będzie was
i nie ostanie na kamieniu
kamień".

Wiersz utrzymany w tym równym tonie mniej więcej do połowy, potem się załamuje, bo cóż? — trzeba powiedzieć, że „żył Duch Narodu i nie dał ugiąć, i partyzantkę jak sztandar przed wrogiem rozwinął" i o Tobruku, i o Lenino... ale wtedy wpada się w dydaktykę i banał. Inny wiersz patriotyczny „Rzeczpospolita" swymi walorami recytacyjnymi pokrywa niedomogi artystyczne.

Ostatnie dwa wiersze zbioru: „Kontrasty" i „Jesienny wiersz" należą do gatunku tzw. liryki refleksyjnej. Zbliżone są one do tomu „Myśli na zwiady" i na tej drodze autorka osiągnąć może największe sukcesy. Ich skupiony, opanowany liryzm, świadome, choć nie nowatorskie środki artystyczne rokują wiele i z niecierpliwością szukać będziemy w nowym tomie poezji wierszy tego rodzaju.

JAN PIERZCHAŁA
WIERSZE. ARKUSZ ŚLĄSKI 10.

Wyd. Z. Z. L. P. Oddz. Śląski (Katowice, 1948). S. 15, 1 nlb.

Młody autor śląski, znany dotychczas z wierszy zamieszczanych w „Odrze" i w „Zeszytach Wrocławskich", zadebiutował w 10 tomiku Arkusza. Reprezentuje on własne spojrzenie na świat i wyrobioną już technikę pisarską. Tematycznie wiersze jego związane są głównie z czasami okupacji i pracą w kopalni śląskiej. O okupacji mówią „Wyznania", cykl wierszy „liryczno-autobiograficznych"; o kopalni głównie „Drzewiorz", poemacik górniczego życia. Wartość większą niewątpliwie przedstawia ten ostatni. Za tą oceną przemawia nie tylko realistyczna treść poematu, ale i forma, odznaczająca się giętkością i ścisłym podporządkowaniem wyrażanej treści. Jeśliby należało z obowiązku recenzyjnego zrobić jakieś zastrzeżenie, to będzie ono tylko jedno — zasadnicze: autor winien więcej troski poświęcić przezwyciężaniu łatwizn formalnych pójść zawsze po trudniejszej drodze. Wiersze bowiem „Drzewiorza" cechuje swoboda głównie rymowa: mamy tu rymy niepełne, częste asonanse i konsonanse, a nawet brak zupełny rymów. To zaś przy prozaicznej budowie zdań, zgodnie zresztą z opisywanym przedmiotem, sprawia, że ilość konstant wierszowych niepokojąco się zmniejsza, pozwalając płynąć szerokim strumieniem zlekka zrytmizowanej i zapisanej tylko a linea prozie. W tym jak i w niektórych zabiegach stylistycznych (np. „metafora niech nie boli, jeśli przyłożyć ją do piersi" s. 8) widać u autora dążność do modernizacji, wątpliwe wszelako, czy istotnie koniecznej. Wydaje się, że szkoła klasyczna i jej przejście byłyby rozwinięciem talentu Pierzchały. Świadczą o tym zarówno własne jego wiersze bardziej zbliżone do klasycznych „O dosyt słów", „Przeciwko sobie", jak i doświadczenia najwybitniejszych pisarzy.

Cykl „Wyznania" jest dużo słabszy. Nie tylko z powodu zawartości ideologicznej, (gdy np. Pierzchała stwierdza: „Wierzę w socjalizm, **bo** w Chrystusa wierzę!" s. 11), ale także i ze względów artystycznych. Szczegóły autobiograficzne przedstawione ze zbędnym czasem naturalizmem, który razi poczucie estetyczne czytelnika. Rozmaitość strofiki i rymów opiera się na ciągle tym samym szablonie wiersza bez rygorów... -W sumie debiut to raczej udany. Czekamy na tom książkowy.

JÓZEF NACHT-PRUTKOWSKI
WIERSZE. ARKUSZ ŚLĄSKI 11.

Wyd. Z. Z. L. P. Oddz. Śląski (Katowice, 1948). S. 15, 1 nlb.

Wstęp do tomiku wierszy Józefa Nacht-Prutkowskiego charakteryzuje je tak przekonywająco, że trudno sobie odmówić przyjemności zacytowania wyjątków:

....Prutkowski mniej trapi się o formę. Chodzi mu o treść przede wszystkim.... Słownik często rubaszny, zwłaszcza w wierszach na codzień, w aktualiach politycznych... Wiersze o społeczności, jesieni i miłości składają się właśnie na całość niniejszego arkusza."

Obiektywizm każe jeszcze dodać, że te wiersze o „społeczności i miłości" są bardzo słabe. O społeczności jeszcze słabsze od tych o miłości. Przykro to stwierdzać, jak i przykro się godzić na kategorie wierszy „na codzień" i „od święta", ale te są właśnie z tej pierwszej kategorii i to z jej gorszego asortymentu. Przykłady?

Oto początek wiersza „Nad grobem bojownika":

„Płaczesz matko, łzy moczą
poduszki
Zabił syna niemiecki morderca.
Zbyt tragiczne są dzisiaj Zaduszki
Dla twych wspomnień, dla starego
serca" itd.

Tematykę i trudności autora reprezentuje strofa ze „Śmierci liryka":

„I oczy pełne tego dymu
Nie mogą dostrzec nawet rymu.
Bo jakże: dymy... Katowice...
I nagle las i gołębie"

Dla wyjaśnienia trzeba dodać, że nie są to jeszcze strofy najsłabsze a podobne tym można by cytować stronicami. I dodać warto jeszcze, że słabości formalne nie są jedynymi słabościami tych utworów: motywy treściowe (żydowska matka, pochwała pierwszej dywizji, grób bojownika, miłość do dziewczyny) były już wyrażone i dawniej i lepiej. Dlatego w zakończeniu smutnego obowiązku recenzyjnego znów przywołać trzeba do pomocy p. Prutkowskiego, żeby stwierdzić jego słowami z „Świętych dialogu o Śląsku" (s. 8): „Tak tu ciemno Józefie, takie dymne powietrze"...

(Zast.)

Czytajcie
„SŁOWO POWSZECHNE"

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Balk)

11

LOT JASKOŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem"

— Błagam pana — mówiła — niech pan nie będzie tak olimpijski. — Juliusz w tym czasie dostał powołanie na ćwiczenia i wyjechał do pułku. Aleksander urządził pożegnalną kolację u Simona, pozapraszał sporo osób i nawet Krystyna dziwiła się jego energii. Wzruszył ramionami.

— Co tu dużo ukrywać — powiedział — to już jest mobilizacja. Teraz każdy dzień należy przeżywać podwójnie. Wojna przyjdzie jak koniec świata.

Parsknęła śmiechem.

Czy nie bierze pan tego zbyt tragicznie? — Nie słuchała jego odpowiedzi: przyszedł jej na myśl Tadeusz, Tadeusz, który też miał ochotę brać rzeczy dość tragicznie. Wspomniał nawet o konieczności prawdziwego zjednoczenia, to było w jego ustach coś niecodziennego. Nie mogła jednak Czelepińskiemu poświęcać teraz zbyt wiele czasu. Pochłaniali ją całkowicie ci nowi ludzie; których niedawno poznała, żyła w nowym kręgu — tak bardzo egzotycznym. Odkryła swoją młodość i to odkrycie było jak wrażenie pijaństwa. Odzywał się głód życia, czy ten sam, o jakim napomknął kiedyś Rauchenberg? Było jej bardzo wygodnie z jego nieobecnością. Zaczęła nareszcie zwracać uwagę na swoje ubranie. Tanie było to wszystko, co kupiła, ale zwłaszcza przez pierwszych parę tygodni każda suknia, każdy kapelusz, ją bawił — jako nowość; każdy nowy szczegół ubrania ją odmieniał, odnawiał i doktryna Ksawerego, że jej dobrze jest we wszystkim, wcale Krystynie nie odpowiadała. Wolałaby, aby zwracali na to większą uwagę. Pod tym względem byli jednak do siebie podobni — i Alex i Ksawery i nawet Juliusz. Oczekiwała, aby zwrócili uwagę, gdy pokazywała im się w jakimś nowym nabytku z dziedziny stroju. Zdawali się tego jednak nie dostrzegać, jakby nic się nie stało, lub poprostu uważali, że nie ma o czym mówić.

Na pożegnaniu Juliusza było bardzo gwarno i hałaśliwie. W końcu Alex odwozić musiał Juliusza do domu, Juliusz był pijany i skłonny do tkliwości i wylania nawet wobec zupełnie obcych kobiet. Alex lękał się, że Juliusz wywoła awanturę. Krystyna czuła się trochę zgaszona i odsunięta na dalszy plan. Ton przy stole nadawała generałowa Rzeżycka, wobec jej werwy i dowcipu nikła nawet wspaniała suknia Czerejskiej. Nikt nie miał tyle do powiedzenia, co generałowa. Piła alkohol jak żołnierz, dużo lepiej niż Juliusz — „on jest przecież tylko z rezerwy“ — tłumaczyła go po północy przed Alexym, gdy jej wyraził swój podziw. Juliusz, w pół leżąc na fotelu, z nogami wyciągniętymi daleko pod stół, nie dawał za wygraną.

— Ach, ona umie pić wódkę nawet szklankami — dowodził.

— Ale wolę wino.

— Sama opowiadałaś, że w święto pułkowe piłaś wódkę w szklance, gdy przyszła delegacja żołnierzy. Uderzyła go lekko po ręce:

— Pleciesz! Daj spokój.

Generał przyszedł po żonę około północy, lecz ciągle nie mogła się zdecydować, aby odejść. „Zdążymy jeszcze do tych Baranowicz“ — powiedziała. Siedział osowiały, tymbardziej, im więcej była wesoła. Od czasu do czasu spoglądała w jego stronę i wtedy coś na kształt chumry przebiegało przez jej twarz. Na oka mgnienie. Wzruszała ramionami i zwracała się w stronę Alexa, w stronę Ksawerego. Wątły, wyglądający jak chłopczyna, Jerzy Zgarski, śmiał się cicho i coś opowiadał na ucho Jance Czerejskiej. Nie spuszczała oczu z Krystyny i wyglądało jakby o niej szeptali.

— Tylko bez sekretów — zerwał się Juliusz — tylko bez sekretów, powtarzam.

Stał z palcem wskazującym wzniesionym ku sufitowi i kołysał się dookoła niewidzialnej osi. I co ty jej możesz powiedzieć, molu książkowy. Ona nie ma zwyczaju czytać książek. Ją interesują tylko mężczyźni.

— Ale nie tacy, jak ty.

Skinął dobrodusznie głową.

— W takim razie albo Alex albo Wery. Bo ja wiem zresztą... Jerzy, to nas obu nie obchodzi, ona ma swoje ciemne zamysły. Nie można brać kobiet poważnie, one same tego nie chcą.

Ksawery zagryzł usta: czy to tylko pijacka pół-prawda? Spojrzał na Krystynę. Siedziała z rozchylonymi wargami, wpatrzona w Juliusza. Śmiała się głośno. Generał podniósł ku niej zmęczony wzrok i też się uśmiechnął.

— No — powiedział stanowczo — już czas najwyższy do domu.

Juliusz domagał się jeszcze, aby wysłać zbiorową depeszę do Danusi Okrzejskiej. Poza Alexem nikt jednak nie wiedział, kim była Danusia Okrzejska i projekt nie znalazł aprobaty.

— Zwracam waszą uwagę, że poza Alexem nikt nie zna tej młodej osoby. Ja się nie liczę, ja jestem pijany — powiedział Juliusz. Uważam, że to jest znamienne. Prawda, Jerzy?

Czerejska zasznurowała usta. Alex wzruszył ramionami, jakby dawał do zrozumienia, że słowa Juliusza do niego zaledwie docierają, ale nie należy brać ich poważnie.

— Pomyliłem się, naturalnie, że się pomyliłem — dowodził w szatni Juliusz.

— Taki przyjaciel jak Jerzy, to śmieszne. On jest delikatny, efemeryczny, wrażliwy. Wolałbym, aby był chytry, ale żeby czegoś przynajmniej chciał od życia.

— Czego można chcieć więcej? — zapytał Jerzy i zupełnie niepotrzebnie się zaśmiał. Jest wszystko.

— Wszystko. — parsknął Juliusz. Uważnie, ja teraz jestem pijany, ale wiem napewno, że nie wszystko. Och, Janeczko, ty jedna się ze mną zgodzisz, ty jedna masz wieczne pragnienie.

Roześmiali się wszyscy, już na odjezdnem, Krystyna powiedziała coś do Aleksandra szeptem. Słuchał jej nieuważnie, z kapeluszem w dłoni. Odezwał się głośno:

— Naturalnie. Ależ dobrze, doskonale.

Ksawerego przeszyło uczucie niechęci, uczucie obejmujące ich oboje. Powstała w nim myśl, że należy Krystynę jakoś ukarać, okazać jej niewłaściwość takiego postępowania. Odwoził ją do domu w milczeniu, to była właśnie ta najprostsza manifestacja, którą potrafił narazie obmyśleć. Ale, niestety, nie zwracała na nią uwagi. Była poprostu zmęczona. Zwykle wieczorem przy rozstaniu umawiali się na dzień następny, tym razem zaniechał tego zwyczaju. Nie pamiętała widocznie, nie przypomniała mu niczego. Podała rękę z gestem znużenia. Ledwo się za nią zatrzasnęła brama, miał ochotę ją zawołać, zatrzymać. Ta ochota tak nagle wygasła jak powstała. Wskoczył do taksówki. Na drugi dzień było to samo, nic prostszego jak do niej zadzwonić do biura. Ale opóźniał ten moment, tępił w sobie decyzję, zwrócenia się do Krystyny, tłumaczył sobie, że i ona zna jego telefon, że i ona może zadzwonić. Tak minęła godzina czwarta i dopiero wtedy, przestraszony, pojechał do Krystyny. Nie było jej w domu.

— Panienka przyjdzie pewno dopiero wieczorem. Nigdy nie wraca wcześniej.

Był wściekły. Próbował myśleć o czymś innym, o czymś obojętnym. Żadne myśli się nie układały, po prostu nie można było myśleć. Poszedł do Łazienek, lecz park spotęgował w nim jeszcze ten nastrój rozdrażnienia aż do skali fizycznej: czuł że ma zaschnięte gardło, że głowa jest drętwa, czaszka przeszyta jakimiś igłami. Przenikał go dreszcz, idący od wody, nasyconej mułem i gnijącymi liśćmi. Łabędzie sunęły po stawie jak kapryśne jachty, zmieniające bez powodu kurs. Koło restauracji rozlegał się brzęk muzyki z rozklekotanego głośnika, wtedy, gdy byli tu z Karoliną wieczorem, jak dawno, było ciszej i spokojniej. Wrócił do domu, zniechęcony. Ale tu właśnie czekała go niespodzianka: Krystyna już od godziny niecierpliwiła się i miała właśnie zamiar wyjść.

— Już się nie mogłam pana doczekać — powiedziała. — Czy ma pan może coś ważnego do roboty?

Wszystko się naraz zmieniło. Zostało tylko jedno przeświadczenie, które łączyło poprzedni stan rozterki z tym nowym stanem uczuć, z odnowieniem psychicznej energii: że bieg zdarzeń jest szybki, niesłychany, że nie ma sensu z niczym zwlekać, niczego przeciągać, zostawiać do jutra. Żyć zaraz, natychmiast, wszystkimi nerwami.

— Byłem u pani, przed godziną. A potem w Łazienkach, nie spodziewałem się, że pani tu będzie.

Spojrzała mu na usta: skóra na wargach spierzchła. Musiał być zmęczony.

— Szkoda. Mam dzisiaj czas i moglibyśmy iść razem do Łazienek.

— To chodźmy.

Namyśliła się.

— Nie zaraz. Niech pan troche odpocznie.

— Powinienem sobie właściwie nalać wody zimnej na głowę.

— Dlaczego? — była zdziwiona.

Nie, nie mógł jej odpowiedzieć. Przecież byłoby śmiesznością opowiadać jej całe dzisiejsze przedpołudnie, całą udrękę, którą sam sobie obmyślił i te Łazienki, nastrój daremności i niewiary. To właśnie było wielkie: możliwość przechodzenia od cierpienia do szczęścia, bez przyczyny. To znaczy, przyczyna istniała, lecz nikt z zewnątrz nie mógłby jej ani dostrzec, ani pojąć. Odwrócenie wszelkich praw: widziało się zachodzące słońce, ale nie następował wieczór. Słońce znowu wracało ku ziemi, bez nocy i bez wschodu. Świeciło intensywnością wszystkich barw zachodu, ale bez tendencji do znikania, bez tendencji do mroku. Głębokość tego zachodu, jego intensywność w kolorze, stawała się nie do wytrzymania, była prowokująca, wywoływała podniecenie i chęć dokonania czegokolwiek, zgubienia siebie. Zgubienie siebie, nie po to, aby o sobie zapomnieć. Ale żeby o sobie nie pamiętać Było w tej chwili rzeczą godną pogardy ciągle pamiętać o sobie, pamiętać, że się istnieje. Rzecz ważniejsza:
istnieć.

Była gotowa do wyjścia, przechodziła przez pokój na ukos ku oknom i potem wracała z powrotem po przekątnej, z torebką i rękawiczkami w ręku. „Czy już pan odpoczął? — zapytała.

Patrzył na nią i nie odpowiadał. Wtedy się zatrzymała.

— Mnie się wydaje czasami — wtedy dopiero powiedział — że widok namiętności nie budzi w kobiecie niczego, może zaciekawienie... Ani lęku, ani współczucia. Jesteście jakby oswojone z tym stanem niepokoju, który jest istotą namiętności.

— A mężczyźni? — podjęła.

— Mężczyźni? Mężczyzna jest to ktoś samotny. Głęboko samotny.

— To bardzo romantyczne — zauważyła.

— Może, nie o to chodzi. Wydaje mi się, że dla mężczyzny uczucie, namiętność jest czymś niecodziennym, jest obce jak żywioł. Przychodzi jak żywioł, nagle, bez zapowiedzi, jak głód. I dlatego mężczyzna jest nieprzygotowany, wpada w stan epidemii. Jest wytrącony całkowicie z równowagi. Inaczej kobiety — wy zawsze żyjecie z jakichś drobnych namiętności, których my nie rozumiemy. Dla mężczyzny ambicja zaczyna się dopiero od chęci władzy, dla was, kobiet, już w pragnieniu nowego kapelusza. Kapelusz i miłość mogą być dla kobiety jednakowo namiętnością. My powinniśmy o tym wiedzieć i nie brać was nigdy zbyt poważnie. Z umiarem, w zakreślonej granicy. Ale dla mężczyzny namiętność jest czymś, w czym on nie ma doświadczenia i wtedy skłonny jest przyjmować, że kobieta przeżywa to samo.

— Postanowił mi pan powiedzieć kilka impertynencji? — uśmiechnęła się. — Wy mężczyźni, ustawicznie staracie się wykazać, o ile jesteście lepsi, że w ogóle macie słuszność.

Pokręcił głową.

— W tej chwili najmniej mi o to chodzi.

Podeszła znowu ku oknu i wyglądała chwilę. — „A o co?“.

Odpowiedział bez namysłu:

— Czy wyszłaby pani za mnie zamąż?

Po tym pytaniu zrobiła się cisza. Krystyna odwróciła się od okna i przyglądała się Ksaweremu, jakby zdumiona niecodziennością położenia. Wsunięty głęboko w fotel, wpatrywał się w nią, — jakby w tym spojrzeniu chciał ukryć własne zdumienie. Tak, był zdumiony — nigdy przedtem ta właśnie jedna myśl, myśl o małżeństwie z Krystyną, nie przychodziła mu do głowy. Poczuł się rozśmieszony, zawsze inaczej sobie wyobrażał chwilę jakiegoś przełomu w stosunkach z Krystyną. Był od początku — od jakiego znowu początku — pewien, że między nimi coś musi zajść. Wyobrażał sobie, że ją po prostu obejmie ramieniem, że zmusi ją do chwilowego lęku, nim zamknie jej oczy pocałunkami. To wszystko jednak nie miało oznaczać małżeństwa, w ogóle nic nie miało oznaczać. Miało się stać — i nie stawało się. Nie mógł się ruszyć z fotela, nie mówiła nic, tymczasem naprawdę zrobił się zachód i razem z cynobrowymi pasmami na szybach do pokoju wsypał się szary kurz zmroku. Stawało się jasne, że ten zachód nie jest na tyle intensywny, aby mógł trwać długo i że ustąpi pola mrokom wieczornym w czasie normalnym, przewidzianym przez fizykę, niezakłóconym przez czas wewnętrzny. Mijała osobliwość tej chwili, którą jeszcze niedawno Ksawery tak mocno odczuwał. Osobliwość zjawiska polega na tym, że zostaje wyłączone działanie czasu fizykalnego. Wtedy wydziera się z nas nasz własny, wewnętrzny, już nie jako poczucie, rytm czasu i on sprawia, że chwila wydłuża się ku wieczności, to znowu skraca się ku trwaniu podobnym do błysku. Bezwątpienia, człowiek ma pewną swobodę wobec czasu: nie może nią jednak kierować, i dlatego nie może jej wykorzystać. Musi ulegać czasowi historycznemu, ogólnemu dla wszelkiego trwania. Takie urządzenie jest opatrznościowe: inaczej moglibyśmy zaginąć dla siebie samych, zgubić się samemu sobie z oczu, z pamięci — jak w jakiejś fantastycznej krystalizacji. kiedy gałązka pamięci przestaje wydawać nowe liście, a obrasta rosą różnej barwy, rosą zamarzającą i tym mrozem tłumiącą, dobijającą soki życia. „Jeżeli Krystyna — pomyślał Ksawery — jeżeli Krystyna zrobi teraz coś takiego, co przedłuży tamtą niespokojną szybkość czasu, będę na razie nieszczęśliwy. Ale to potrwa krótko. A jeżeli rozpętałem jakiś nowy wymiar życia, utracę swoją swobodę, swoją samotność, choć nie utracę jej naprawdę, będę i tak samotny, tylko od wewnątrz“.

— Nie dziw się — powiedział głośno i bardzo spokojnie — nie dziw się. Istotne jest to, że się męczę tym, że ciebie pragne.

Oderwała się wreszcie od okna i powoli podeszła ku niemu. Powstał i objął ją w delikatnym uścisku, jakby bał się przerażać. Przechyliła głowę do tyłu, zauważył, że ma zamknięte oczy. Wargi, drobne i skurczone, miały smak płatków pomarańczy: świeży i ostry, dojrzały. Cofnęła się.

— Nie wiem, nie wiem — powtórzyła.

— Dlaczego?

Uśmiechnęła się bardzo bezradnie i dopiero teraz przyszła mu do głowy pewna myśl.

— Czy nie jesteś wolna?

— Ależ jestem — odpowiedziała z rodzajem zniecierpliwienia. — Wcale nie o to chodzi. Może już wyjdziemy.

Na dworze trwał jeszcze dzień. Kwitło kaprifolium o zapachu, który tak lubił ojciec, jedyny zapach i jedyny kwiat, na który zwracał uwagę. Ksawery się uśmiechnął, gdyż przypomniało mu się, jak ojciec kiedyś powiedział, że w życiu wcale nie o kwiaty chodzi, a o korzenie i o łodygi. „Tak — zaprzeczył Ksawery — bez kwiatów nie byłoby jednak nowych nasion“.

— To są kłopoty hodowców — powiedział ojciec — kłopoty plantatorów. Społeczną wartość mają jednak korzenie. No, i łodygi.

— Jesteś materialistą.

— Po prostu, byłem zawsze człowiekiem praktycznym.

Dzień trwał jeszcze jak gdyby sztucznie przedłużony, przeciągany przez nich samych, przez ich niezakończoną rozmowę. Mógł się zakończyć dopiero ze świadomością tego, co postanowili. Co postanowiła Krystyna, gdyż sprawa nie nadawała się do dyskusji i Ksawery w pełni ten moment doceniał. Nie mógł wpłynąć na postanowienie Krystyny. Jednakże słowa „nie wiem“ z żadnej strony nie można było traktować jako rodzaj decyzji. Oznaczało wahanie i chodziło mu, przez coś więcej niż przez zwykłą ciekawość, o ustalenie natury tego wahania.

(c. d. n.)

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

DO RED. „DZIŚ I JUTRO" PROTEST

Autor, wydawszy dzieło, musi być na to przygotowanym, że zajmą się jego krytyką nie tylko ludzie „znający się na rzeczy", ale także ignoranci, nie tylko ludzie dobrej woli, ale także ludzie, pozbawieni jej zupełnie. Jest on bezbronny. Kryteria są tak giętkie, że łatwo jest każdemu pozbawionemu głębszych skrupułów recenzentowi „zjeździć" utwór, ile mu się tylko podoba. Musi być jednak ostrożny. Są pewne rzeczy, których nie można zakłamać np. zwykłe streszczenie utworu lub łatwa interpretacja.

Już kiedyś wyraziłem głęboką pogardę dla interpretacji mych wierszy przez p. Janinę Pregerównę, która w nich, ku „zbudowaniu" maluczkich w duchu, w sobie tylko znany sposób znalazła faszyzm i sadyzm.

Obecnie muszę zaprotestować przeciw recenzji p. Artura Marii Swinarskiego o „Słudze don Kiszota". W nr 29 „Dziennika Literackiego" zjechał on sobie moją sztukę. Tego mu oczywiście nikt zabronić nie może. Nie był jednak ostrożnym. Mianowicie we wszystkich prawie zdaniach, przedstawiających akcję, wykazał nieznajomość utworu, który się podjął omówić.

Już sam tytuł recenzji: „Don Kiszota ciąg dalszy" świadczy albo o całkowitej nieznajomości Cervantesa, albo mego utworu. Jak wiadomo u Cervantesa don Kiszot umiera, ja zaś nie zajmowałem się przedstawieniem losów pozagrobowych Don Kiszota. Możnaby conajwyżej mówić o innej wersji Don Kiszota, gdyby to przy utworze symbolicznym, jakim jest moja sztuka, miało w ogóle wielki sens.

Streszczając działalność Sanszy Panszy p. A. M. Swinarski jest w niezgodzie z utworem. Może zajrzeć do sztuki, to zobaczy, że jednak sprawa wygląda inaczej niż on przedstawił. Bardzo inaczej. Nie będę go już zaczepiał o symplifikację idei utworu. Trudno — może w istocie tylko to dostrzegł, o czym pisze. Na to nie ma rady.

Wobec niezgodności utworu z przedstawionym przez p. A. M. Swinarskiego streszczeniem powstaje pytanie, czy niezgodność ta wynika z nieprzeczytania utworu, z wrodzonej nieudolności, czy ze złej woli.

Jakkolwiek by jednak odpowiedź na to pytanie wypadła, protestuję przeciw takim recenzenckim „wyczynom".

Uważam ten protest za obowiązek ze względu na mnożącą się ilość recenzentów z „nieprawdziwego zdarzenia", których bezkarność może tylko rozzuchwalić.

Sądzę też, że wszyscy pisarze powinni w wypadku zetknięcia się w swojej działalności z podobnymi metodami publicznie protestować. Jesteśmy wszyscy bezbronni wobec recenzentów — z wyjątkiem wypadków oczywistej niezgodności ich streszczeń z utworami. Jeśli i wtedy nie będziemy protestowali, staniemy się wszyscy ofiarą lekkomyślności, nieudolności lub złej woli coraz to więcej aroganckich występów krytyków z „nieprawdziwego zdarzenia".

Pan A. M. Swinarski nie ma prawa zajmować się recenzowaniem po ostatnim wystąpieniu! Co najmniej trzeba być ostrożnym, panie „recenzencie".

Wojciech Bąk

DO REDAKTORA „DZIŚ I JUTRO"

Nareszcie ktoś odezwał się mądrymi słowy! Cała dyskusja o erotyźmie w sztuce katolickiej wywołana bredniami zawartymi w **obu** listach owego ks. Błotnickiego oraz w szeregu wcześniejszych artykułów p. Z. Jakimiaka — może nareszcie zostanie zamknięta świetnym i ze wszech miar słusznym artykułem Jana Dobraczyńskiego pt. „Erotyzm komercyjny?" — pod którym każdy z nas mógłby podpisać się, mimo drobnych zastrzeżeń (np. odnośnie uwag o „Piórkiem flaminga", powieści Kisielewskiego oraz wymienieniem jednym tchem Przyborowskiego, Mossoczowej i „Sienkiewicza) oburacz! Włamany w artykuł Dobraczyńskiego fragment rozważań ks. Calveta—może też będzie kubłem zimnej wody na głowy naszych zapalonych moralizatorów, dla których ideałem literatury powszechnej staną się dziecięce czytanki! Znacie panowie zapewne owo uczniowskie powiedzonko, które miało znakomity obieg między sztubakami Polski Niepodległej: nie ten świnia kto mówi — tylko ten, kto się domyśla!

W tym węszeniu pan-erotyzmu i gorszeniu się byle czym — czyż nie tkwi jakiś uraz psychiczny, jakieś zahamowanie wewnętrzne, o którym uczniowie niesłusznie dziś z rozmaitych stron beształ Freuda coś nie coś by nam mogli — bardzo ciekawego sądzę! — opowiedzieć.

Brawo Dobraczyński! Brawo ks. Jules Calvet!

Kazimierz Koźniewski

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO" w Warszawie

Zaniepokoiły mnie objawy niepoważnej napastliwości w wypowiedziach niektórych działów pisma. Przykładem tego jest omówienie sprawy konkursów literackich w kronice spraw kulturalnych jednego z poprzednich n-rów „Dziś i Jutro". Mówiąc o nagrodzie literackiej Katowic, autor wyraża się: „przyznano niedouczonemu Brzozie". Szkoda, że nie nazwał go wprost nieukiem. Jak wiadomo Jan Brzoza jest samoukiem. Ciężką drogę musiał przejść nim z robotnika niewykwalifikowanego przeobraził się w pisarza. Oczywiście takie rzeczy nie stają się na skutek cudów. Naukę, której nie dano mu zdobyć w szkolnej ławie musiał wykuwać własnymi siłami, a więc sposobem o wiele trudniejszym. Bez nauki nie mógłby zostać pisarzem, ogromną pracę musiał zapewne przenieść nim wypłynął na powierzchnię jako literat zawodowy. Pisarstwo u takich ludzi, to nie igraszka zintelektualizowanego umysłu, ale praca najbardziej serio, praca umiłowana i niezastąpiona niczem. I zdaje się, że tacy ludzie skoro zdobyli już ku temu kwalifikacje, pisać mają o czym.

Za pisarza utalentowanego został Brzoza uznany już dawno. Nie wolno go dzisiaj lekceważyć, zarzucając niedouczenie, skoro został uznany godnym przynależności do grona pisarzy, w którym dla niedouków nie może być miejsca. Że jest samoukiem zasługuje na tym większy szacunek i trzeba pamiętać, że dzisiaj wielu takich upartych samouków piastuje najwyższe godności w różnych dziedzinach życia.

W tym samym n-rze pisma w dziale recenzyjnym zamieszczona ujemna ocena tomiku wierszy Marii Kuźmińskiej dyskwalifikuje młodą poetkę. Nie chodzi o ujemną ocenę, tylko o sposób w jaki została wypowiedziana. Autor zagalopował się do tego stopnia, że nieudały debiut nazywa karygodnym i zdaje się poważne ubolewa nad tym że nie można jej pociągnąć do odpowiedzialności sądowej. Co proszę?! Ileż to wierszy złych i jakże złych utworów innego rodzaju drukuje się na łamach pism. Ile wyszło wychodźtomików poetyckich nie lepszych od Kuźmińskiej. Takie przedwczesne lub nieudałe debiuty zawsze będą miały miejsce i nie należy zapominać, że każdy autor w początkach uprawia grafomanię, rzecz jasna nikt nie wyrasta odrazu na mistrza. Tylko, że jedni chowają to głęboko na dnie, drudzy mają odwagę, lub możność, raczej to drugie, wypuścić na świat.

Z takich nieszczęśliwie debiutujących autorów wyrastają często prawdziwi poeci i nie należy im zbytnią surowością podcinać nóg i obrzydzać życia przy pierwszych krokach, choćby to były najbardziej nieudałe próby pisarskie.

Takie wypowiedzi, jak wyżej wymienione, podkopują powagę pisma, której przecież nie można odmówić kulturalnemu tygodnikowi „Dziś i Jutro", za jaki byłem skłonny zawsze go uważać.

Proszę o umieszczenie mojej wypowiedzi na łamach pisma w dziale głosów czytelników.

Z poważaniem
Bronisław G. Chęciński

SZANOWNA REDAKCJO!

Jakże miłe uderzają czytelnika dwie, tylko szkicowane twarze Pawła Jasienicy i Aleksandra Rymkiewicza w Nr 21 (130) tyg. „Dziś i Jutro". Panowie Redaktorzy! Wy zapewne w większości znacie współpracowników „Dziś i Jutro", ale czytelnicy, zwłaszcza na głębokiej prowincji — nie znają. Dlatego sądzę, że nie tylko swoją myśl wyrażam, prosząc o więcej sylwetek, szkiców autorów: to bardzo zbliża czytelnika do autora, czym jest autor bardziej znanym, a równocześnie mocniej wiąże z gazetą i przyczynia się do jej popularyzacji.

Czytelnicy chcieliby nie tylko widzieć autorów narysowanych; ale także słyszeć i widzieć żywych, przemawiających w odleglejszych ośrodkach, no ale to już chyba nie leży w mocy Redakcji.

Rudnik n. Sanem
Urban Władysław

UWAŻAM, ŻE KS. PASŁAWSKI...

Księża Pallotyni wznowili po wojnie nakład powieści, dla młodzieży ks. Pasławskiego (należy zaznaczyć, że „Pallottinum" zaczyna sobie wyrabiać szerszą pozycję wydawniczą wznawiając „Krzyżowców" Kossak oraz nowe jej dzieła „Suknia Dejaniry" i „Gość oczekiwany".

Pytanie, czy szczęśliwy wybór? Na pytanie to odpowiedziała już Starowiejska - Morstinowa w Tyg. Pow., negatywnie oceniając powieści ks. Pasławskiego. I Jan Dobraczyński w artykule „Erotyzm komercyjny"? rozdziera szaty mówiąc w rozgoryczeniu: „Jeśli Gołubiew gorszy — to na polu zostaje tylko ks. Pasławski". Ma słuszność. Gdyby na polu został tylko ks. Pasławski to w Polsce powstałby „Ciemnogród" kulturalny — wtedy biada literaturze! Ale, jeśli tak wiele mówimy o upowszechnieniu „książki" (powołany został przecież Komitet upowszechnienia książki, wspaniałe artykuły na ten temat w „Dziś i Jutro" Józefa Majkuta, Zofii Sutor czeskiej w Tyg. Pow.) to, czy pozycja Pasławskiego — pytam — jest zbyteczna? Czy „Nieuchwytne skarby", „Irusia", „Tajemnica sieroty", „Rywalka" tegoż autora w znacznej mierze nie przyczyniają się do upowszechnienia książki? Naturalnie — jak zaznaczyłem — nie mówi się tu o pozycji artystycznej, książki Pasławskiego są banalne, przyzna to każdy, kto choć trochę zna się na literaturze. Ale jaką metodą mamy się posłużyć, by panna, która nie czuje żadnego pociągu do książki, owszem ma nawet wstręt, uczuła ten pierwszy, zbawienny „Głód" książki? Czy ten głód wywołamy dając jej do ręki powieść Dygata, Andrzejewskiego, Brezy, Żukrowskiego? Niewątpliwie, nie! Nie strawi. Ale koleżanka jej czytała „Irusię" Pasławskiego, zachwyca się nią — nic dziwnego — nie ma wyrobionego smaku artystycznego, nie lubi jeszcze śmietanki i kremu. Jednakowoż potrafi sugestywnie opowiadać o niej innej swojej koleżance — bo zresztą o czym mają mówić?

Czwartek. Wypożyczam książki. Podchodzą do stołu dziewczęta. Podaję jedną, drugą, trzecią ponoć — nie! Nie chcą! Co mam robić? Wyciągam zniecierpliwiony „Irusię". Wyrywają mi wprost książkę. Chwytają wszystkie Pasławskiego. Rozbudzona ciekawość, — chyba smaku sobie jeszcze nie popsują. Przychodzą po raz piąty. Mówię, że już tego autora wszystko przeczytały. Robią smutne miny, biorą coś w tym stylu, ale na wyższym poziomie artystycznym. Wprawdzie — myślę — dużo wody w Wiśle upłynie zanim zostanie poruszony z półek Gołubiew, Żukrowski, ale początek zrobiony komu to zawdzięczać? Pasławskiemu! Spełnił swoją misję — mógł naturalnie lepiej ją spełnić, ale wtedy nie byłby Pasławskim, ale Dobraczyńskim lub Gołubiewem. Poznał iskrę i wywołał pożar, głód książki. I nie trzeba nawet na to „aby książka weszła w życie jak kartofel", tej chytrości „podania" jej o jakiej mówi Józef Majkut.

Wiem dobrze (proszę się tym nie gorszyć), że nawet młodzież żeńska wyższych klas, czyta z zajęciem Pasławskiego mimo, że nikt o jego książkach nie pisze recenzji (dobrze, że tego nie robią!) Bo ostatecznie może ktoś grać w szachy (grą w szachy będą powieści Dygata, Brezy, Żukrowskiego, Andrzejewskiego, Gołubiewa, Dobraczyńskiego), ale może ktoś w „damkę" lub „halmę" — książka jeśli nie przynosi korzyści może być rozrywką odciągającą młodzież od rozrywek dla dobra duszy szkodliwych. Taką „rozrywką—halmą" może być właśnie książka ks. Pasławskiego, która jeśli się znajdzie w każdej bibliotece parafialnej spełni swoją rolę w upowszechnieniu książki. Literaci z parnasu nie jesteście niezależni!!!

Romanus

Nowość
Juliusz Kędziora
Szymon Syn Jony
powieść o św. Piotrze
Wydawnictwo Mariackie
Kraków, Szpitalna 2

WNĘTRZE I WYSTAWA

SPÓŁKA Z OGRANICZ. ODPOWIEDZ.

PROJEKTOWANIE I WYKONYWANIE WNĘTRZ I MEBLI PRZEZ FACHOWCÓW ARCHITEKTÓW I WYKWALIFIKOWANYCH RZEMIEŚLNIKÓW · BUDOWA PAWILONÓW I STOISK WYSTAWOWYCH · PROJEKTOWANIE FASAD I WNĘTRZ SKLEPOWYCH · PORADY FACHOWE W ZAKRESIE URZĄDZANIA I DEKORACJI WNĘTRZ MIESZKALNYCH

WARSZAWA. PLAC GRZYBOWSKI 2.

W czwartą rocznicę śmierci poległych w walkach Powstania Warszawskiego

ś. † p.

Zdzisława Piaseckiego

dnią 7 sierpnia o godz. 8

i

ś. † p.

Haliny Piaseckiej

dnia 14 sierpnia o godz. 8

odprawione zostaną msze św. w kościele św. Michała na Mokotowie

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna.
Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr I-727
Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30
Druk Skolimowska 5.
Wydawca Kolegium Redakcyjne
Prenumerata miesięczna 60 złotych Kwartalna 180 złotych
B-55870